Nr. 18 (1114). Warszawa, dnia 20 Kwietnia (3 Maja) 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i piątki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Militaryzm Anglii.

Obecnie Anglii grozi militaryzm. Dokonali tego Boerzy dzielnym, wytrwałym, Anglię niemilitarną do wytężenia wszystkich sił zniewalającym swoim oporem. Dowodząc swej potęgi, strona zwycięzka stanęła nad krawędzią militarnej swej niemocy. Od przepaści uchronić ją może tylko militaryzm.

Militaryzmowi już się Anglia nie opędzi. Przeciwko garstce, wyobrażającej wraz ze starcami, kobietami i dziećmi $^1/_{500}$ ludności olbrzymiego mocarstwa angielskiego, musiano wysłać dotychczas już około 300,000 żołnierzy—jeden walczący na 1 dorosłego Boera. I nie był to jeszcze żołnierz nawskróś macierzysto - angielski, a w tej znowu kategoryi rzeczywisty żołnierz liniowy: ściągnięto milicyę ze wszystkich kolonij, wsadzono na konie historyczną yeomanry, której dawniej spełnianem normalnie powołaniem było chwytanie opryszków i dopomaganie w wojnach domowych temu, kto pierwszy za kark schwycił i na konia wrzucił. Pomijając wielkiego sprzymierzeńca, jakiego Boerowie znalezli w samym przestworze, w stepach i w górach — ta niewojskowość wojska angielskiego przyczyniła się wielce do przedłużenia wojny, bezprzykładnej prawie w dziejach. Poznano na własnej skórze, co to jest rzucać się na zdobycze, nie mając w ręku narzędzia zdobyczy — wielkiej armii. Poznanoby jeszcze lepiej, zrobionoby na samych sobie doświadczenie już straszne, gdyby — nie z ludzkiego współczucia dla Boerów, bo o niem marzyć mogły tylko dzieci, ale z grubego, jak najprostszego, najrealniej politycznego interesu—jednocześnie z wojną w południ. Afryce energia zewnętrzna zdobyła się była na jakikolwiek czyn wrogi Anglii na innym jakim punkcie jej posiadłości.

Już podczas wojny minister od wojska Brodrick powziął, przez parlament przeprowadził i wykonywać zaczął plan wzmocnienia sił zbrojnych. Dość zawikłana organizacya, złożona z milicyi i z armii właściwej, ma dać sześć korpusów zdolnych do działania przeciwko najazdowi, a z nich trzy do działań obronno - zdobywczych po za Anglią. Ogółem siła tej organizacyi wyraża się w liczbie 550,000 zbrojnych, wszelkiej broni i powołania. Aby taką sumę osiągnąć, musiano podnieść wysokość corocznego zaciągu; ale nie tknięto zasady staro-angielskiej — dobrowolności służby. Jak dawniej, tak i obecnie, za dokonywającej się reformy, Anglik nie ma obowiązku służyć w wojsku właściwem; służy tylko z ochoty, ma w wojskowości zawód, do którego pcha go głód lub ambicya, jak inne zawody. Nie dawne są jeszcze czasy, kiedy Gladstone zniósł sprzedawanie szarż oficerskich. Ta dobrowolność, to prawo, uzupełniające nietykalność jego domu nietykalnością jego osoby, skazujące armię angielską na zaciągi z ochotników—teraz ostatnie dni swoje już przeżywa. Za dwa, trzy lata będzie miała Anglia służbę obowiązkową, a za lat dziesięć, jeśli nie prędzej—obowiązkową i zarazem powszechną, i wielką, już nie zbieraninę, ale prawdziwą armię, i dwa razy większy od obecnego budżet wojskowo-wojenny (około 40 mil. fun. sterl.).

A ten militaryzm lądowy to tylko część syzyfowego kamienia, od którego brzemienia nigdy już uwolnić się nie będzie można. Przybywa militaryzm na morzu, kosztowniejszy, a dla mocarstwa rozrzuconego po świecie całem, mającego bronić 580,000 mil kw., niezbędniejszy jeszcze od lądowego. Zasadę dotychczasową, że Anglia musi sprostać swą flotą dwu mocarstwom przeciw niej działającym, zdmuchuje ciężarna klęskami troska o przyszłość. Taką siłę musi mieć flota bojowa na otwartem morzu; ale obok niej musi być inna we flocie stacyjnej i przybrzeżnej. Dzisiejsze dwadzieścia parę milionów na flotę o połowę się zwiększą. Beresford, lord admiralicyi, zabiera się do umyślnej kampanii krasomówczej — aby przekonać Anglię o potrzebie rdzennej reformy floty i gwałtownego wzmożenia jej w bojowe okręty.

Na to wszystko potrzeba wszechnerwu rzeczy tego świata — pieniędzy, pieniędzy i jeszcze pieniędzy Montecocullego, a wydobywanie ich wprowadzi i drugi jeszcze przewrót w jakości zwycięzkiej siły. Wolność handlowa pójdzie na cztery wiatry. Jeżeli wojna z Boerami, która dotychczas pochłonęła 160 milionów fun. sterl., na rok bieżący, dając 45 mil. f. st. deficytu, narzuciła już cło na zboże, reorganizacya dla

militaryzmu przedsięwzięta, zwali stopniowo cła na ogół inwekty. Zmiana układu cząsteczkowego w społeczeństwie będzie nieodwróconym skutkiem całej tej prężności wielkomocarstwowej.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Telegramy z d. 25 z. m. donoszą o odrzuceniu warunków ugody z Anglią, t. j. poddania się, z pewnemi tylko rękojmiami materyalnemi. Doniesienie to jest wiarogodniejsze od poprzedniego, które oznajmiało już przyjęcie, ale i ono nie ma jeszcze powagi faktu. Boerom życzyć potrzeba takiego nastroju, aby zaniechanie walki, jeśli już ma być nieuchronnem, dokonało się bez umyślnego aktu, samem tylko topnieniem oddziałów zbrojnych. Wszelkie dobrowolne podpisy na ubezprawnienie i niemoc demoralizują zbiorowość, której wolę stwierdzać mają.

Hasło *Los von Rom*! nie próżnuje w Austryi. Związek protestancki Gustawa Adolfa i Związek ewangelicki niemiecki, w r. 1901, umieściły korzystnie w Austryi około 700,000 marek. Od czasu wydania hasła około 15,000 przeszło na protestantyzm, w samej Galicyi w jednym tylko r. 1901 około 100 osób. Rząd przedlitawski jest dziwnie pobłażliwym dla tej z zewnątrz, w politycznych celach przedsiebranej roboty.

Niemcy austryaccy wznawiają dawny koncept. Galicyi, Bukowinie i Dalmacyi zostawiają swoiste ich języki w sprawach polityczno-administracyjnych; innym zaś krajom monarchii narzucają niemczyznę, czyniąc tylko wyjątek dla gmin nie niemieckich, które będą mogły i mówić i pisać i nauczać w języku ojczystym. Rzecz prosta, że wszelkie akty władz naczelnych państwa, oraz wszelkie czynności w sejmie głównym i w sejmach krajowych tylko w niemieckie szaty przyodziewać-by się mogły.

Na Górnym Śląsku burmistrz w Dobrzycy wpada do kościoła, aby szpiegować księdza. Gdy gwałt ten wytknięto w sejmie pruskim, minister spraw wewnętrznych nie zawahał się powiedzieć, że burmistrz dobrze zrobił i spełnił tylko swój obowiązek: zachęta dla innych burmistrzów. Inny minister, Studt, od oświaty, na krytykę nauczania katechizmu po niemiecku oznajmił, że rząd wie co robi i działa z zupełną świadomością celu, do którego dąży. Odtąd już rząd będzie bezwzględnie karał wszelkie agitacyi objawy. Agitacyą zaś dla Studta jest używanie mowy polskiej! Odpowiedź była z góry uradzona z ministrami.

W Belgii uspokoiły się namiętności, ale tylko na to, aby się przygotować do silniejszego wybuchu. Żywioły odśrodkowe przeważają; wielu przewódców dotychczasowych traci zaufanie; radę generalną, która nakazała odwrot ze skrwawionych bruków, uważa lud roboczy za kollegium tchórzostwa lub nawet zdrady. Nowa organizacya ma dążyć już do zupełnego przewrotu. W ostatnich chwilach ucichłej prze dwoma tygodniami zawieruchy, przelała się jeszcze krew w Lovanium. Wrogą postawę obu obozów usiłuje jeszcze łagodzić liberalizm, ale nie zapobiegnie on wojnie domowej i sam w prądach krańcowych zwietrzeje.

We Francyi wybory niedzielne odbyły się bez większych bójek w Paryżu; nacyonaliści bili republikanów, ale głosami. Wogóle nacyonalizm i monarchizm objawiły niespodziewaną zaciętość i zdaje się, że oba zyskały przyrost liczebny. Wielka jest liczba, prawie $^1/_3$, wyborów nierozstrzygniętych. Według Hevasa wybrano: 81 republik. „ministeryalnych,“ tyluż opozycyjnych; radykalistów: czystych 88, socyalistycznych 49; socyalistów czystych 24, nacyonalistów 42, monarchistów 47 — wogóle: republikanów 162, radykalistów społecznych i politycznych 161, monarchistów-cezarystów 89; około stu osiemdziesięciu wyborów trzeba powtórzyć.

D. 21 z. m. były zaburzenia w Sztokholmie. Zebrało się ze 30,000 robotników, żądających głosowania powszechnego. Od zamku odparła ten tłum policya, nie bez rozlewu krwi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NAD WARTY I ODRY.

Sprawa kandydatur polskich na Górnym Śląsku dojrzała już w zupełności.

Znakomitą przysługę kierunkowi antycentrowemu oddał poseł hr. Hoensbroech, członek centrum katolickiego, wypowiadając w sejmie pruskim mowę tak promienistą duchem hakatystycznym, że główny zarząd Towarzystwa H. K. T. nie mógł się powstrzymać od przesłania mu serdecznego powinszowania, wraz z gorącem podziękowaniem za obronę niemieckości na zagrożonej placówce wschodniej. Hr. Hoensbroech wystąpił otwarcie nietylko przeciw polskości wogóle, ale też przeciwko tak potulnym i lojalnym jej przedstawicielom, jak duchowieństwo polskie. „Nie należy zaprzestawać usiłowań, mających na celu przyzwyczajenie Polaków do opieki duchownej księży niemieckich.“ Hr. Hoensbroech, wypowiadający otwarcie germanizatorskie sympatye, wywołał wielkie wrażenie nietylko w prasie, lecz wśród szerszego ogółu wyborców. Nawet zahukani robotnicy katoliccy wykluczyli go ze swego stowarzyszenia w Gliwicach, do którego należał w charakterze członka honorowego. Nawet *Katolik* musiał dać wyraz powszechnemu oburzeniu i surowo skarcił hakatystę-centrowca.

Warto zauważyć, że *Katolik*, od czasu przybycia mu radykalniejszych pod względem narodowym i społecznym konkurentów, musi, rad nie rad, występować ostrzej przeciwko germanizacyi wogóle, a centrum w szczególności. Wydawca *Górnoślązaka*, p. Biederman, nie szczędził wysiłków, ażeby odebrać *Katolikowi* prenumeratorów. Pismo to uprawia oddawna następującą filantropię: każda wdowa po prenumeratorze *Katolika*, zmarłym wskutek nieszczęśliwego wypadku, może otrzymać 150 marek. *Górnoślązak* ogłosił, że będzie płacił o 50 mar. więcej. Naturalnie taka obietnica poskutkowała. Wkrótce potem *Górnoślązak* wydrukował list dziękczynny pewnej wdowy, która otrzymała 200 marek i, w niedługim czasie zdobył 5000 prenumeratorów.

Pisaliśmy już o kierunku *Górnoślązaka* i o procesach, które nań spadły. Obecnie przestał być interesem spekulacyjnym p. Biedermanna, który, korzystając z budzącego się na Górnym Śląsku niezadowolenia mas, wydawał go wyłącznie dla zysku. Utworzyła się mianowicie spółka z pp. Korfantym i Kowalczykiem na czele, która, złożywszy 40,000 marek, nabyła gazetę od p. Biedermanna. Dziś jest to pismo tego samego kierunku, co *Goniec Wielkopolski* i *Dziennik Berliński*.

Z ciekawością oczekiwano zasadniczego wypowiedzenia się *Górnoślązaka*, dokładnego określenia stanowiska względem najważniejszych zadań polityki polskiej na Górnym Śląsku. Istotnie, artykuł p. t. „Nad program,“ który się wkrótce ukazał, był wielką dla wszystkich niespodzianką. Dowiódł mianowicie, że poglądy narodowych demokratów górnośląskich z przed dwóch lat a dzisiejszych stanowią już dość znaczną różnicę.

Punkt pierwszy tego programu podkre-

---

18)

M. Grossek.

SERCE.

XX.

Była zwyczajna niedziela w jesieni. Plony z pól szczęśliwie już sprzątnięto, a rolnik, czując pełną stodołę lub kiesę i zażywając po pracy odpoczynku, przypominał sobie różne potrzeby i w święto zjeżdżał do miasteczka.

Przed kościołem, jak na targowicy, trudno się przecisnąć przez powozy, bryczki i szarabany, konie tną z lekkim chrzęstem suchą, sterczącą, jak szczecina, trawkę cmentarną w cieniu wielkich lip, których liść czernieje.

Przez główne drzwi, na rozcież otwarte, buchnął nagle głos organów i zaraz umilkł, a z kazalnicy rozszedł się głos po kościele. W tej właśnie chwili Stanisław Kucz maczał palce w kamiennej kropielnicy u wejścia, mającej kształt haftowanego kapciucha — i puściwszy naprzód, przed wielki ołtarz, córki, siostrę i nauczycielkę, sam usunął się prędko w ciemny pod chórem krużganek, w kącik za konfesyonał, w którym księża nie spowiadali nigdy.

Hej! hej! — nie te to czasy, kiedy Kucz wyświeżony i pachnący stawał na widoku, w drzwiach zakrystyi, z roztargnieniem szepcząc pacierz z pamięci, a wzrokiem szukając wiejskich swych znajomych, którym oddawał ujmujące, zalotne prawie skinienia głowy i których potem werbował do siebie na obiadek, jeśli całego towarzystwa wespół z nim razem nie zabierał na probostwo ksiądz Dyonizy. Nie te to czasy, kiedy z godnością i namaszczeniem nosił szkarłatny, ze złotą frendzlą baldachim nad tą przepyszną, matejkowską głową księdza Dyonizego, siwą, ogromną, długowłosą, która już teraz spała sobie snem wiecznym na cichym, zwolenieckim cmentarzu. Parę tygodni temu ksiądz Dyonizy niespodziewanie zgasł, zabity apopleksyą.

. . . .

Serafina, jak to miała w zwyczaju, wróciwszy ze mszy rannej, pozostała w domu. I Antoni Różyński, wtajemniczony we wszystkie jej nawyknienia czekał tej chwili, aby wpaść znienacka przez kuchnię do mieszkania. Usłyszawszy głos Serafiny w śpiżarni, zaczaił się na nią w sypialnym pokoju Kucza, który leżał na przejściu.

Czekał i czekał... a dłużyło mu się nieznośnie. Serce biło silnie i brakowało mu powietrza—dusił się formalnie w tym ciasnym, gorącym pokoiku, który nawet swoją ciszą i spokojem działał mu na nerwy. Spuszczone firanki z zielonego rypsu tamowały, bijący prosto w szyby, zdrój żółtego, jesiennego słońca, w którem dojrzewały krwiste pomidory, jeden koło drugiego poustawiane na desce okiennej. Pod ścianą, zawsze gorącą od pieca kuchennego, przesuszały się na półkach pokurczone, zczerniałe liście mięty, miodem pachnący woskowego koloru kwiat lipy, żółte gałeczki rumianków, z opuszczonymi jak zmokłe włosy białymi płatkami; rozmaryny, tysiączniki i czombry odurzającą wonią napełniały powietrze. Na staroświeckiej komodzie z bronzowemi uchami stały porcelanowe, złocone filiżanki i figurki, które Antoni bezmyślnie brał w rękę i stawiał. Potem jego uwagę zwróciły na siebie dwa łóżka, zajmujące przeciwległe ściany pod oknem. Na jednem z nich tylko leżała po-

śla dobitnie fakt, że wydawcy *Gornoślązaka* są katolikami i z całą stanowczością będą bronić „naszej Matki—kościoła, której wiernymi dziećmi jesteśmy.“ Dopiero po wierze świętej „najważniejszą dla nas rzeczą jest narodowość.“ A więc *Górnoślązak* niczem się właściwie nie różni od *Katolika*. Podobieństwo programu narodowych demokratów górnośląskich z programem „katolikowców“ uwydatnia się we wszystkiem z wyjątkiem ustępu, wypowiadającego walkę nieprzejednaną centrowcom. Tak ciekawa kwestya, jak ta, do jakiego klubu w parlamencie mają przyłączyć się posłowie polscy z Górnego Śląska, nie została w programie ani jednem słowem poruszona. Możnaby na podstawie tego podejrzewać, że *Górnoślązak* pragnie wstąpienia polskich posłów robotniczych i drobnochłopskich do Koła mianującego się polskiem. To podejrzenie utrwala okoliczność, że „program“ narodowych demokratów górnoślązkich pomija zupełnem milczeniem sprawę tak ważną, jak podwyższenie ceł zbożowych, popierane energicznie i przez junkrów polskich z Koła. Na polu gospodarczo-zarobkowem program *Górnoślązaka* niczem się też nie różni od programu *Katolika*, ogłasza nawet, że ma popierać bytomski związek górniczy, kierowany przez katolikowców, zwany zwykle związkiem *daremnej pomocy*, wedle tej korzyści, jaką przynosi *de facto* polskim robotnikom górnośląskim.

Oprócz więc walki z centrum w imię dość nieokreślonych celów, młoda inteligencya górnośląska, grupująca się dokoła nowego pisma, nie wnosi nic nowego do życia politycznego dzielnicy staropolskiej.

Stanowisko partyj, które będą chciały stawiać własnych kandydatów przy zbliżających się wyborach do parlamentu, zostaje znacznie ułatwione dzięki temu, że dotychczasowi posłowie-centrowcy z Górnego Śląska, przynajmniej w okręgu przemysłowym, najbardziej dojrzałym pod względem politycznym i narodowym, nie mają zamiaru kandydatować nadal. Stanowczo wypowiedzieli się już w tej sprawie posłowie dr. Stephan i Letocha.

Wszyscy na Górnym Śląsku interesują się najbliższymi wyborami, natomiast w Poznańskiem i Prusach Zachodnich cicho o nich zupełnie. Pisma, będące na usługach junkrów polskich, mają powody nieporuszania drażliwej kwestyi wyborów: mówiąc o nich, trudnoby było pominąć rzecz tak drażliwą, a dla olbrzymiej większości wyborców polskich tak bolesną, jak głosowanie pełnomocnika Koła w komisyi ceł zbożowych za wnioskami junkrów pruskich. Pisma drobnomieszczańskie w Poznaniu odznaczają się taką naiwnością na punkcie najżywotniejszych interesów ludności, że trudno od nich żądać konsekwentnej polityki nawet w sprawie wyborów. Świeżo np. odbył się w Poznaniu wielki wiec o charakterze drobnomieszczańskim. Rozpatrywano politykę germanizatorską rządu i wszystkie wybryki hakatystów z punktu widzenia interesów polskich kupców i rzemieślników. Jedynym ratunkiem na dolegliwości jest, według zgodnego zdania wszystkich mówców na tym wiecu, „popieranie swoich.“ Nawet lekkie wystąpienie przeciwko szlachcie w Kole tem motywowano, że ona nie kupuje u Polaków, przegrywa miliony w karty na obczyźnie itd. Jeden z mówców oświadczył: „Jeżeli my robimy dla nich taką ofiarę, że będziemy głosowali za cłami, przez co sobie chleb podrożymy, to przecież i oni mogliby się zdobyć na zakupywanie u swoich, zamiast u Niemców i Żydów.“ A więc to drobnomieszczaństwo nietylko nie myśli o zwaleniu nareszcie przewagi junkrów, ale wzamian za popieranie interesów szlachty nie żąda nic ponad łaskawy zwrot w postaci zarobku na obstalunkach u polskich rzemieślników, drobnej części jej zysków na cłach zbożowych. I takie stanowisko zajmuje Poznańskie w chwili, kiedy na przestrzeni całych Niemiec sfery rzemieślnicze podnoszą jednozgodny głos protestu przeciwko polityce ekonomicznej.

Nic dziwnego, że drobnomieszczaństwo poznańskie stoi tak nizko pod względem uświadomienia społeczno-politycznego, kiedy ci, którzy od szeregu lat oświecają i wychowują te sfery — urzędowi przywódcy tego drobnomieszczaństwa — są prawdziwymi analfabetami pod względem politycznym. Dość przejrzeć taki *Postęp*, takiego *Orędownika*, ażeby zrozumieć, jaki straszny chaos musi panować w głowach czytelników, wierzących tym pismom na ślepo. Zresztą nietylko poziom politycznego wykształcenia tych przywódców jest bardzo nizki; niektórym z nich brak najelementarniejszych pojęć o zwykłej uczciwości.

W prasie niemieckiej błąkają się w ostatnich czasach pogłoski o nowej ustawie antypolskiej, która podobno ma być wzorowana na bismarkowskiej ustawie przeciwko socyalistom. Ile w tem prawdy, nie wiadomo, gdyż nawet pisma, któreby mogły być dobrze poinformowane o treści projektowanej ustawy, nic określonego nie głoszą. Wrocławska *Schlesische Zeitung* utrzymuje, że „sejmowi pruskiemu w najbliższym czasie ma być przedstawiony projekt ochrony niemczyzny w dzielnicach wschodnich. Obrady nad projektem przedłużą sesyę sejmową aż do czasu po Zielonych Świątkach.“ Natomiast *Germania*, notując te pogłoski, zaznacza, że w sferach urzędowych nic o takim zamiarze nie wiadomo. W biurach sejmu pruskiego też podobno nikt nie wie o projekcie, skierowanym przeciwko Polakom.

Pośrednik.

URZĘDY I IZBY PRACY.

Jest to rzecz charakterystyczna, że ilekroć przychodziło do bitwy o pewne poszczególne zagadnienia i reformy społeczne, zawsze obydwa obozy wojujące skarżyły się na brak broni faktycznej. Teorya, którą walczono, okazywała się „szarą“ wobec jaskrawości, pełni i rozlewności życia rzeczywistego; pomimo bogactwa naszych wiadomości natury społecznej, pomimo rosnącej z dnia na dzień literatury, arsenał, utworzony dorywczo, niesystematycznie, pod wpływem zapędów poznawczych pojedynczych badaczów, nie jest w stanie podołać wszystkim wymaganiom praktyki. Z tego względu państwa zachodnio - europejskie powołują do życia i udoskonalają instytucye, mogące pod względem informacyjnym dotrzymać kroku rozwojowi rzeczywistości. Z jednej strony powstają departamenty ministeryalne, zwane „Urzędami pracy,“ z drugiej instytucye przedstawicielskie pod nazwą „Izb roboczych.“ Podobnie jak rozmaite urzędy państwowe śledzą sprawy rolnictwa, handlu, komunikacyi itd., tak okazało się koniecznem podporządkować i powierzyć dziedzinę pracy odrębnemu oddziałowi maszyny administracyjnej. „Urzędy (biura, departamenty) pracy“ są owemi zbiorowiskami, do których spływają systematycznie gromadzone wiadomości statystyczno-społeczne, i skąd państwo może czerpać, w razie potrzeby, odpowiednio zregestrowany i zapasowo nagromadzony materyał. Obok tego, podobnie jak rolnicy, kupcy i rzemieślnicy rozporządzają izbami rolnemi, handlowemi i rzemieślniczemi, które pośredniczą pomiędzy władzą a klasami odpowiedniemi, stale zawiadamiając ją o ich żądaniach, tak okazało się koniecznem obdarzyć rów-

---

ściel; na drugiem cienka kapa pokrywała deski, i widać było, że stało tylko dla symetryi.

Nad łóżkiem, które było w użyciu, wisiał rozpostarty puszysty dywanik z lwem, rozłożonym pod wielkimi liśćmi palmy. Na dywaniku, pod drewnianą pasyjką, z obu stron haftowanego paciorkami „pantofla“ na zegarek, wisiały dwa piękne, w srebro oprawne pistolety. I Różyński, zapalony amator broni, zneutralizował w sobie chwilowo gorączkę oczekiwania, opatrując z zajęciem znawcy kunsztowny, staroświecki mechanizm, cacko, przywiezione z ostatniej podróży od „cioci.“

Do drugiego łóżka, na którem nikt już teraz nie sypiał, plecami z toczonych drążków przyparty, stał fotelik, a na jego dnie z kwiecistego perkalu, roztwarta, różańcem przełożona, leżała gruba książka. Kartki jej miękie, wełniste, na brzegach powleczone zbronzowiałą pozłotą, żółtemi plamkami popstrzone, zbrukane i powygryzane na rogach, listewkami białego papieru gdzieniegdzie sklejone, kawałkami pisma ręcznego zastępujące wydarte miejscami druki, kartki, tak dobrze znane, tak charakterystyczne nie mogły należeć do innej, jak do książki nabożnej, do jednego z tych rodzinnych relikwiarzy, na których modlą się u nas całe pokolenia niewiast.

Snać zajęcia gospodarskie oderwały Serafinę od rozpoczętej modlitwy, której tytuł, drukowany grubemi czcionkami, jak w elementarzach, zdaleka wpadł w oko Antoniemu:

— „Modlitwa opuszczonej“ — przeczytał — smutna modlitwa!

Zamyślił się i wyobraził ją sobie tak żywo! — klęczącą tutaj, na tej samej desce, w postaci upadającej, w uczuciu przygnębienia i bezradności, z głową, objętą rozpostartymi palcami, wpatrzoną w te karty, w które musiała wsiąknąć niejedna jej łza. I z jakąś bolesną uwagą, pełną trwogi i pożądania zarazem, biegał oczyma po tych kartkach, szukając i bojąc się odnaleźć na nich ślady tych płaczów. Jak gdyby w nich był dowód jakiś ostateczny i rozstrzygający—coś, co dopełnia lub zgoła przepełnia miarkę. Piękna jego żołnierska twarz, twarz Apollina, boga muz i wojen, ściągnęła się marsem fizycznego prawie cierpienia. „Opuszczona...“ Antoni wiedział już, jak była nieszczęśliwą i, wspomniawszy, co przeszła, wykonał całem ciałem bezwiedny ruch obrońcy.

Nagle głos Serafiny zaczął się zbliżać... i ona sama, cała w bieli, błysnęła mu w oczach w połowie ciemnego korytarzyka. Szła z twarzą za siebie zwróconą, domawiając ostatnich zleceń i trzepocząc nad głową gołemi rękami, które w biegu szukały rękawów kaftanika, szła wprost na niego, nie widząc go jeszcze.

Spostrzegła, uczuwszy pierwej na sobie jego wzrok palący; zgarnąwszy ręką bieliznę na piersiach, stanęła w miejscu skamieniała. Przestrach gwałtowny rozszerzył jej oczy. Zdobyła się jednak na blady uśmiech, skinęła mu głową od progu, jakby zapobiegając innej formie powitania, i od progu, odpychając go gestem ręki, wołała jednym tchem: „Idź sobie — idź!.. idź!.. idź!..“ Jednym susem był przy niej i, wciągnąwszy ją za rękę do pokoju, zatrzasnął zasuwy u drzwi, zwinny i praktyczny, jak zawsze.

— Proszę cię, zbieraj się, Serafino! — prędko... zaraz... zabieram cię z sobą!... — Wypowiedział to ostrym, rozkazującym tonem, rozdrażniony jej buntowaniem się, on, który tak był przywykł do władzy nad nią i do jej potulności. Ale oczy miał pieszczotliwe i obejmował ją niemi od stóp do głowy, jak gdyby liczył i taksował swe skarby.

nież warstwy najmickie „Izbami pracy,“ wyposażonemi w odpowiednie przywileje i mającemi pewne obowiązki. Noszą one w różnych krajach rozmaite nazwiska, w Szwajcaryi np. „Sekretaryatu,“ a we Francyi i Belgii — „Rad pracy.“

W Belgii ta instytucya powstała już w r. 1887 i składa się z członków, wybieranych przez klasę pracującą drogą równego i powszechnego głosowania. Wyższą instancyę stanowi „Wyższa rada pracy,“ do której mianuje członków sam rząd. Zasługa jej polega na ogłoszeniu szeregu poważnych prac społeczno-statystycznych. Te oto dwie rady, przedstawiające interesy pewnej grupy narodu, pozostają pod nadzorem „Urzędu pracy,“ stanowiącego departament ministeryum handlu i przemysłu. „Urząd“ kontroluje nadto sądy przemysłowe, stowarzyszenia fachowców, policyę fabryczną, ubezpieczenia społeczne, umowy pracy i przepisy zakładów przemysłowych. On też daje inicyatywę do ankiet, żąda memoryałów itp. Urząd wydaje miesięcznik *Revue du travail*, poświęcony prawodawstwu i reformie społecznej. Tu również wychodzi „Rocznik,“ gdzie stale są regestrowane rozporządzenia społeczne wszystkich krajów wraz z dosłownym ich tekstem.

Urządzenia belgijskie posłużyły za wzór dla Francyi. Minister Millerand, unikając starcia z parlamentem, stworzył na własną odpowiedzialność, drogą rozporządzenia rządowego, „Rady pracy,“ w których zasiadają w jednakowej ilości przedsiębiorcy i pracownicy danych okręgów przemysłowych. Rady te, jak już była o tem mowa w jednym z poprzednich numerów *Prawdy*, mają prawo układać taryfę przyjętych w danej miejscowości płac roboczych i pełnią czynność sądów rozjemczych w sporach pomiędzy zwierzchnością zakładów a jej podwładnymi. Tej instytucyi o charakterze autonomicznym przeciwstawiono ze strony rządu „Wyższe Rady pracy,“ obsadzono w trzeciej części pracownikami. Kobiety są tu między innymi również dopuszczane do uczestnictwa. „Rady“ te sporządzają ankiety, przesłuchują rzeczoznawców, zbierają dane statystyczne, a na podstawie otrzymanych wyników polecają pamięci rządu te lub owe niezbędne reformy. Oczywiście wpływ tych i im podobnych instytucyj nie zależy od litery prawa i przywilejów im przysługujących, lecz od całego układu życia politycznego i parlamentarnego, od ducha, istotnie je ożywiającego, a nie jednorazowo w nie wetchniętego przez życzliwego lub dobrodusznego ministra.

Najwięcej samodzielności posiada „Sekretaryat pracy“ w Szwajcaryi. Pomimo iż pierwotnie dano mu tylko czynność doradczą i prawo nadsyłania memoryałów platonicznych, z biegiem czasu wyrósł na potęgę, z którą władza zmuszona jest się liczyć. Jest to tem dziwniejsze, że właśnie w Szwajcaryi brak organu rządowego, mającego bezpośrednią styczność z „Sekretaryatem.“ Skład jego odświeża się co trzy lata za pomocą wyborów, dokonywanych na kongresie, w którym biorą udział delegaci stowarzyszeń zawodowych. Kierownictwo spoczywa w ręku spreżystego emigranta niemieckiego, znanego działacza społecznego, Hermana Greulicha.

Urządzenia angielskie i w tym, podobnie jak w innych wypadkach, świadczą o apatyi i fatalistycznem usposobieniu pracownika angielskiego. Z jednej strony brak nadziei lepszej przyszłości, z drugiej przesadna wiara w skuteczność tradycyjnego, że się tak wyrażę, staroświeckiego selfhelpu, tamują rozwój instytucyj społecznych w Anglii. W r. 1886 liberałowie zażądali w parlamencie zebrania i uporządkowania rozproszonego a jednak licznego materyału społeczno statystycznego. Rząd powierzył to zadanie dowódcy górników, Burnettowi. Dopiero w r. 1893 trades-uniony odważyły się wystąpić do parlamentu z żądaniem utworzenia „Urzędu pracy.“ Parlament uczynił zadość temu życzeniu, a pierwszym dyrektorem nowej instytucyi zamianowano wspomnianego Burnetta. Oprócz tego we wszystkich okręgach powołano wyrobników na stanowiska stałych korespondentów Urzędu. Rola korespondenta przypadła też w udziale robotnicy. Urząd wydaje doskonały miesięcznik p. t. *Labour Gazette*, zawierający w formie gruntownie opracowanej dużo materyału angielskiego i zagranicznego w kwestyi stanowiska pracy.

Nie zatrzymując się dłużej nad innymi krajami, posiadającymi podobne instytucye, jako to: Holandya, Austrya, Węgry, Ameryka itd., przejdziemy do Włoch i Niemiec, gdzie opinia publiczna wywołała potrzebę instytucyi pracy. Jak czytelnikowi wiadomo może z innych źródeł publicystycznych, we Włoszech kwestya społeczna jest w chwili obecnej najżywotniejszą sprawą porządku dziennego. Ministeryum Zanardellego swem taktownem i dyplomatycznem zachowaniem dowiodło, że potrafi stanąć na wysokości swego zadania i odczuć oraz ocenić doniosłość prądów współczesnych. A tymczasem położenie jego było w istocie nadzwyczaj ciężkie. Zdawało się, że lada chwila gabinet rozbije się z trzaskiem. Między innymi całe Włochy, zwłaszcza na wsi, zaroiły się ni stąd ni zowąd sporami przemysłowymi. Były to spory nader zawiłe, wprost nierozwiązalne, bez dokładnej znajomości miejscowych warunków pracy danych okolic. Wprawdzie Włochy posiadają dość obfitą literaturę monograficzną w sprawach zawodowo-społecznych, że przytoczę takie nazwiska, jak: Sonnino, Colajanni, Villari, panie Mario i Lombroso itp. Ale cały ten śpichlerz naukowy okazał się kroplą w morzu wobec nagle ujawnionego zapotrzebowania, bez względu na to, że indywidualistyczna metoda pracy w tego rodzaju zagadnieniach naukowych posiada poważne braki i nie zawsze prowadzi do wniosków zupełnie wiarogodnych. Rząd, znalazłszy się niespodziewanie w opałach, odczuł brak instytucyi pomocniczej, tem bardziej, że już zaprowadzone w 1898 r. zabezpieczenie od kalectwa nie sprostało swemu zadaniu dla braku szczegółowych danych. Posługiwano się schematem, w który, niby w łoże Prokrustowe, nadaremnie chciano wtłoczyć wszelkie odmiany życia, odpowiadające pstrokaciznie rozmaitych warunków miejscowych. Znany działacz społeczny, adwokat Colajanni, wystąpił zatem z projektem założenia „Urzędu pracy“ (Ufficio del lavoro). Stowarzyszenia zawodowe żądały nawet nadania mu tytułu ministeryum, nieodpowiedzialnego przed parlamentem, czego jednak nie dozwoliły warunki konstytucyi. Po za tem projekt bez długich rozpraw doszedł do skutku.

Przedewszystkiem „Urząd“ obowiązany jest, ogłaszając peryodycznie wyniki swych badań, śledzić warunki pracy nietylko we Włoszech, lecz także — a punkt ten należy szczególnie podkreślić — we wszystkich krajach, dokąd z Włoch skierowuje się prąd emigracyjny. Dalej, powinien badać rozwój reform społecznych za granicą, aby udoskonalać ojczyste prawodawstwo społeczne na mocy wzorów obcych. Wreszcie, na żądanie rządu i parlamentu, wykonywać ma wszelkie badania. Prace „Urzędu“ będą ukazywały się w miesięcznym „Biuletynie,“ bezpłatnie rozsyłanym wszystkim instytucyom społecznym i stowarzyszeniom zawodowym. W komitecie nadzorczym zasiadają między innymi dwaj delegaci „Izb pracy,“ dwaj reprezentanci stowarzyszeń wytwórczych (kooperacyjnych) oraz po dwu członków „Związku zarobków“ i Banków ludowych. Pewną część członków mianuje peryodycznie sam rząd z grona właścicieli ziemskich, chło-

---

Ponieważ go słuchała z uśmiechem przeczenia w oczach i na ustach, uznał za stosowne przełożyć jej swe plany. Lecz spiesząc się, mówił gwałtownie i bezładnie, unosił się gniewem, czując sam, że się plącze. Spostrzegał teraz ku wielkiemu swemu rozdrażnieniu, że myśli, obleczone w słowa, nawet gdy je ucho słyszy własnym wypowiedziane głosem, wyglądają inaczej, niż w formie myśli czystej. Zamiary, które w jego głowie były tak proste, łatwe i wiarogodne, przyodziane w dźwięczącą szatę słowa, rozpływały się w tem dziennem powietrzu z fantastycznością obrazów tak sennych, że jemu samemu wydały się nagle mglistemi, niepewnemi i trudnemi. Tem bardziej więc zaciął się, bo ona musi w nie uwierzyć i im zaufać. A wszystko to, o czem on jej prawił lekceważąco, swobodnie i pewien siebie, było naprawdę ciężkie i niezwykłe.

Jeździł właśnie na poszukiwanie chlebodawczego zajęcia i dostał skromną, bardzo skromną posadę przy kolei. Serafina przyjmie protestantyzm... Jest to odstępstwo fikcyjne... Kładł jej w głowę mimochodem, spodziewając się z tej strony najsilniejszego oporu; „lecz trudno — tak być musi,“ „inaczej nie dostaliby rozwodu — a parą nieślubną być niepodobna.“ Potem zbierze fundusze — wyjadą do Petersburga—skończy instytut... Urwał—oczekując od niej objawów szczęścia, oznak uwielbienia, wdzięczności, podziwu... A Serafina stała obojętna, z tym samym uśmieszkiem na ustach. Głową wstrząsała: „nie, nie nie!..“ Patrzyła na niego z politowaniem, jak gdyby się brał do kręcenia biczów z piasku.

— A więc... widzę... że ci o tem jeszcze trzeba powiedzieć — podchwycił zdyszany, zadowolony, pewien, że wreszcie wymyślił klucz do jej przekonania. — Jeśli ci może chodzi o opinię, o rozgłos... to uprzedzam... że nie masz się już czego więcej obawiać... plotka zrobiła swoje... O tem, co między nami zaszło, wszyscy wiedzą, trąbi całe miasto i okolica; myślę przeto, że dla pani byłoby rehabilitacyą...

Serafina zrobiła się bardzo blada, śmiertelnie smutna, zwiesiła na piersi głowę, lecz jej to widocznie ku jego zamysłom nie skłaniało. A jego ogarniała drwiąca wściekłość. Zaczął przyskakiwać do niej z gestami srogimi, z argumentacyą pięści zaciśniętych, czołem zmarszczonem, z wybuchami krótkiego, szyderczego śmiechu.

— Mąż ją zbił... ona go zdradziła... a teraz pogodzili się i będą jeść razem pierogi i całować się po buziach!..

Cierpliwość Serafiny była bliska wyczerpania... lada chwila mógł ktoś nadejść, i to sam na sam stałoby się dla niej w skutkach fatalne... Bojaźń przemogła bierność. „Jak tu z nim skończyć“ — myślała, a serce jej biło gwałtownie — i nagle zdobyła się na energię.

— Tego nigdy nie będzie, nie może być... już ci pisałam, że pomiędzy nami wszystko skończone na zawsze!.. Nie chcę żadnego rozwodu, ni ślubu! — zawołała mocnym, twardym głosem, w oczy mu się wpatrując z bliska. — Przysięgłam — dokończyła uroczyście, wskazując palcem obraz — na tę Matkę Boską Ostrobramską, że nigdy nawet widzieć się z tobą nie będę!

— Dlaczego? — syknął.

— Dlatego... że tak trzeba... tak powinnam i tak chcę!..

(D. n.)

pów i wyrobników wiejskich; z tych ostatnich dwaj muszą pochodzić z kopalni sycylijskich, a jeden powinien być marynarzem. Krytycy uważają za wadę brak przedstawicieli nauk ekonomiczno-społecznych.

W Niemczech dotychczas istniała tylko „Komisya państwowa dla statystyki robotniczej.“ Pomimo swej wadliwej organizacyi wywarła ona niezaprzeczenie wpływ na bieg spraw społecznych. Jej ankiety np. o położeniu wyrobnic, dzieci pracujących i kelnerów rzuciły światło na pewne bolączki społeczne oraz posunęły naprzód prawodawstwo odnośne. Rząd projektuje reformę instytucyi w tym duchu, aby w większym stopniu umożliwić współpracownictwo w niej przedstawicielom świata najmickiego. Sejmu Rzeszy nie zadawalają jednak te ustępstwa. Większość parlamentarna wystąpiła z projektem utworzenia stałego „Państwowego urzędu pracy“ z filiami we wszystkich okręgach przemysłowych, oraz Izb roboczych.

„Urząd“ centralny i jego filie miejscowe powinny w myśl projektu zająć się zbieraniem materyału statystycznego w kwestyach społecznych. Choć literatura niemiecka rozporządza już dziś tysiącznemi badaniami w tym zakresie, to jednak podczas walki celnej nie sposób było np. wykazać cyframi, ile chłop sprzedaje na rynku własnych produktów rolnych, lub stwierdzić wszystkie pozycye budżetu wyrobnika. Nie wiadomo również na pewno, jak syndykaty i kartele zachowują się względem swych podwładnych. A takich kwestyj istnieje co niemiara. Luzak naukowy w żaden sposób nie może rozwiązywać tego rodzaju zagadnień. Prawdopodobnie „Urząd“ obok pracy teoretycznej zajmie się również sprawami praktycznemi, dotyczącemi prawodawstwa fabrycznego.

Przedm.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nad strumieniem.

Życie człowieka jest nicią spleconą z dwu pasem: z tęsknoty i żalu.

Tak również nazywają się dwie dłonie anioła, które on kładzie na rany męczenników, i dwa zęby wideł, na których djabeł niesie potępieńców do piekła.

Codzień rano bierzemy łopatę, ażeby nią pogrzebać nadzieję wczorajszą i przekopać zagon dla zasiania nadziei jutrzejszej.

I tak ciągle przędziemy życie, którego kołowrotek jednym końcem swej osi opiera się na żalu po tem, co minęło, a drugim na tęsknocie do tego, co przyjść może.

Skąd ten niepokój, który dziś, jak nieraz w historyi rojów ludzkich, wywołuje wrzenie pracowitych i karnych pszczół? Skąd to ich wzlatywanie w górę, gniewny szmer, zacięte walki i zabójcze ukłócia?

Wązki i płytki strumień, wijący się w dolinie wzgórz, obrosłych krzewami, ma swoje wdzięki, pogłębienia i zwinne ruchy. Tam, w zgięciu wyszarpanego brzegu, rozlał się nieco szerszą zatoką. Przez szczelinę rozdartej chmury słońce rzuciło na to miejsce garść blasków. Z nor, z mułu i chwastów dna wypłynęła ku ogrzanej i oświetlonej powierzchni gromadka drobnych rybek, które leżą nieruchomo na ciepłej warstwie wody i nagłym migiem znikają, ujrzawszy nieprzyjaciela. Tam znowu potok przemyka się cicho między ścianami ścieśnionego łożyska, spiesząc do rzeki, o której nie wie, chociaż ciągle do niej się wlewa. Gdzieindziej żwawe fale, spotkawszy na swej drodze stado głazów, usiłują je odsunąć, obiegają, przeskakują ze śmiechem lub gniewem, szczebiocząc lub szemrząc. Z wody i z nadbrzeżnych zarośli dobywają się zmieszane szepty, piski, skrzeczenia— słowem, bije ciągle wyraźne tętno potężnych sił natury, które przenikają cały byt, wysiąka czar piękna, którem przepojone są wszystkie jego formy. Czyż przypatrując się temu obrazowi melancholia nie odczuwa ani mocy, ani poezyi? Owszem rozumie go i ceni, ale tęskni. Z własnej wiedzy i cudzych opowieści zna ogromne rzeki i morza, które w swem wnętrzu kryją niezliczony zbiór tworów i na których pływają olbrzymie statki, rozwożące po świecie bogaty dorobek ludzki. Jaka tam głębia i rozległość! Gdy słońce ciśnie swe promienie, to zapalą się od nich najmniejsze fale, które migocą jak bezbrzeżne pole wesołych ogników. Gdy burza te wody rozzłości, to podnoszą się one groźnie, pienią, ryczą, druzgocą i pożerają wszystko, co im opór stawia. Są wtedy straszne a zawsze wspaniałe. Wiele biorą, ale daleko więcej dają. Dają nietylko żer głodom, lecz także swobodny oddech piersiom, swobodny rozmach rękom, swobodny widok oczom. Szeroka rzeka zalewa nadbrzeżne pola, ale pozostawia na nich płodny osad, którym stokrotnie wynagradza zniszczenie. Nosi na swym niestrudzonym grzbiecie statki, dostarcza niewyczerpanych źródeł ruchu, pracuje z ludźmi dla ich dobra. A ocean, ileż on przedźwigał ciężarów, ile wydobył z siebie bogactw, ile dał wrażeń i wzruszeń, z których rodzą się śmiałe myśli i wstrząsające uczucia. Nad strumieniem można wyrosnąć trawą lub krzakiem, zakwitnąć jaskrem, wreszcie zeschnąć, jeśli bydło nie zje lub nie zdepcze. Ocean wykształca tytanów, którzy dla swych płuc potrzebują masy jego czystego powietrza, dla swych sił — naporu jego fal, dla swych zgłębień — przepastnych jego toni. Przyszłość nie należy do ustrojów najprostszych, do istot najniższych. W niej powoli zginą pierwotniaki, organizmy zaczątkowe, nierozwinięte, pozostaną najdoskonalsze. Zginie to, co przebywa w kałużach i strumieniach życia, a pozostanie to, co zamieszkuje wielkie rzeki i morza. Ku tym widokom i postaciom wyrywa się tęsknota, zarówno bezczynnie łzawa, jak energicznie działająca.

Dla melancholii wzgórza, między któremi strumień przebiega, są też ładne. Jedne okryte zielskiem lub krzewami, drugie — nagie lub łyse. Z ich ściętego wierzchołka można szerzej zagarnąć wzrokiem widnokrąg. Chociaż niezbyt szeroko. Odsłonią się płaty pól i łąk, plamy wydm piaszczystych, brodawki zarośli, kilka splątanych dróg, parę krzyżów, a na skraju ciemny wał lasu. Niedaleko wzrok pobiegnie, co chwila o jakąś zawadę uderzy, ale trochę się wyciągnie ze skurczenia. Natura jest zawsze rozumna, zawsze potężna i zawsze piękna. Więc i z tych małych garbów ziemi można również dostrzedz kawałek jej majestatu. A z wysokich szczytów? Ach, stanąć na wierzchołku góry, objąć ziemię tak szerokiem kołem, że w niem zarysują się zagięcia jej kuli, znaleźć się nad chmurami, nad wyziewami, brudem i wrzawą padołu, pod czystą kopułą nieba i rozpromienionem słońcem — jaka rozkosz i poryw do orlego wzlotu!

Życie ma także swoje strumienie i morza, swoje wzgórza i podniebne szczyty. Ono także ma swoje tęsknoty, wydzierające się z położeń ciasnych ku szerszym, z niższych ku wyższym. Nie mówcie, że jest to samolubstwo i niewdzięczność. Człowiek nie może poprzestać tylko na umiłowaniu tego, z czem zrosły się pierwsze lata jego istnienia, nie może nie pragnąć doskonałości, chociażby ona leżała po za warunkami jego kolebki. Wylęgły ptak, rozbijający i opuszczający swoją skorupę, stanowi symbol nieodpartych dążeń ludzkich. Ta skorupa jest szacowną łupiną, w niej wykształcił się zupełnie organizm, ona była jego ochroną, ale czyż on ma dlatego ciągle w niej siedzieć lub nawet ciągle w nią się wpatrywać? Opuści ją, odleci daleko i wzbije się wysoko. Stróże i rządcy dusz ludzkich skarżą się ciągle na ich niepokój, niezadowolenie, pomyślne i chybione próby zmiany swego położenia i czują urazę do siedzących nad potokami o to, że ci marzą o wielkich rzekach. Alboż — pytają — w tych kotlinach, w tych cienkich sznurkach wód, mało jest rozumu i powabu? Po co wyrywać się koniecznie z naturalnej obsady swego losu? Po co? Bo tego wymaga konieczność, która przenika swym rozkazem i swą siłą nawet pozornie najswobodniejsze objawy woli. Nie jednostki, które same przez się nie wyrażają przeznaczeń człowieka i mogą podlegać bądź uwsteczniениu, bądź bezwładowi, ale cała ludzkość, wzięta w najszerszej mierze swego rozwoju, przekonywa, że ona skazana jest na ruch ku górze a nie ku dołowi. My, jako ogół zmarłych, żyjących i przyszłych pokoleń świata, nie możemy nie chcieć postępu, zmian i przekształceń, nie możemy z nad brzegów strumieni, stawów, jezior, z kopców i wzgórków nie tęsknić do wielkich rzek, mórz, oceanów, nadchmurnych szczytów. W tej tęsknocie tkwi ludzka siła, męczarnia, zdolność i gotowość do walki, bunty i zwycięztwa. Bo niekiedy nadchodzi chwila, w której człowiek, jak gdyby w biegu czasu usłyszał uderzenie wyznaczonej godziny, chwyta za gardło melancholię, dusi ją i śmiało posuwa się o krok naprzód. Jest to niezawsze świadome, częściej bezwiedne spełnianie wyroków, któremi natura, stwarzając ród ludzki, określiła kierunek i rytm jego rozwoju. Kiedy ów moment ma nastąpić dla jednostki lub dla społeczeństw, nikt nie wie i nikt dotąd ściśle nie przepowiedział. Okresy odpoczynku, lenistwa, niemocy trwają krócej lub dłużej. Podczas nich w tajemniczych wnętrzach dusz ludzkich, bez wyraźnych znaków dla najczujniejszego wzroku rozwijają się procesy myślowo-uczuciowe, które pewnego dnia występują na jaw, jak trzęsienie ziemi, jak wynurzenie się nowej wyspy, jak coś, co nie było ani oczekiwanem, ani wywróżonem, co przekreśla najmądrzejsze rachuby i wywołuje zdumienie. Ślepy rozum ludzki, który widzi tylko powierzchnię zjawisk, a nie może wyrzec się pretensyi przenikania do ich głębi, wiąże z dorywczych spostrzeżeń i grubych faktów łańcuch swoich teoryj i wskazań praktycznych. Z dziecinną stanowczością twierdzi, że fakt A jest przyczyną faktu B, że jeśli zostanie sztucznie wytworzony lub usunięty fakt A, nastąpi lub nie nastąpi B. I oto nagle, naprzekór wszystkim podobnym wnioskom, rzeczywistość wywraca ową logiczną podstawą i z faktu A wydobywa C. Wtedy biedny rozum pali swoje księgi rachunkowe życia i zakłada inne, w których zapisuje nowe omyłki z wiarą w ich prawdziwość, dopóki znowu nie przekona się o swych złudzeniach i błędach. W kuźni czasu kują przyszłość niewidzialne duchy przy zamkniętych drzwiach, a nam się zdaje, że widzimy ich robotę przez dziurkę od klucza. Gdy ona wyjdzie gotowa, ze zdziwieniem spostrzegamy, żeśmy jej wcale nie widzieli.

Jak nazwać epokę obecną? Jest ona spokojną zadumą nad strumieniem? Czy tęsknotą do wielkich rzek i mórz? Zapewne, po części, ale jest ona przedewszystkiem rozpoczętą wędrówką ku rozległym obszarom i wysokim szczytom.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

NOTATKI NAUKOWE.

Psychologia rasy semickiej według Letourneau'a (*La psychologie ethnique*, par Ch. Letourneau, Paris, Schleicher frères éditeurs, 1901 „Bibliothèque des sciences contemporaines,“ II serie).

Ostatnimi czasy w publicystyce naszej tak dużo mówiło się i mówi o charakterze rasy, jego cechach stałych czy zmiennych, o duszy narodu, że nie od rzeczy może będzie ten krótki wyciąg z niektórych rozdziałów najświeższej pracy Letourneau'a p. t. „Psychologie ethnique,“ dający nam możność zaznajomienia się z poglądem tego uczonego na bliżej obchodzące nas szczepy. Przedmiotem dzieła Letourneau'a jest badanie psychologii rasowej ludów świata starożytnego i autor do ciekawych w tem dochodzi wyników. Nie możemy przytaczać wszystkich jego dowodzeń, lecz ze względu na poruszoną w ostatnich numerach *Prawdy* sprawę „syonizmu,“ narodowości żydowskiej postaramy się dać streszczenie poglądów myśliciela francuskiego na psychologię rasy semickiej. A czynimy to tem chętniej, że Letourneau wypowiada zdanie wręcz przeciwnie powszechnie utartym mniemaniom.

U Beduinów dwie cnoty rozwinęły się najbardziej: solidarność między członkami klanu i gościnność. Za największą obelgę dla klanu uważanoby zarzut, iż jego mężowie niezdolni są oddać wszystkiego, co mają, a kobiety niezdolne niczego nie odmówić. To też biednych nie mają najzupełniej. Jeśli kto z pośród nich wpadnie w nędzę, naczelnik plemienia zwołuje najbogatszych członków i oznajmia im: „Jeden z naszych braci jest w potrzebie. Jeżeli chcecie, by umarł, to wiedzcie, że ja go sam raczej uśmiercę, niżbym miał pozwolić, żeby go głód zabił. Jeśli nie, czyńcie swoją powinność.“ I nieszczęśliwy znajduje natychmiast pomoc.

Za to Arabom brak najzupełniej tego, co my nazywamy patryotyzmem: brak im przywiązania do kraju, do ziemi, co się objaśnia koczowniczym trybem życia tego ludu. Plemię zastępuje Arabom ojczyznę; o innej nie mają oni żadnego pojęcia. Brak im również subtelniejszych uczuć moralnych. Zmysł praktyczny, samozachowawczy plemienia nakazuje mu pozbywać się członków, którzy są bezużyteczni dla klanu: stąd mordowanie starców i dzieci, zwłaszcza dziewczyn, występki, które Koran daremnie usiłował wykorzenić; a także ilościowa przewaga mężczyzn nad kobietami w plemionach. Zmysłowość jest jedną z tych wybitnych cech rasy semickiej, które odbijają się na literaturze Arabów, niezwykle obrazowej i w stylu kwiecistej, a pustej w treści. Do pracy wszakże jakiejkolwiek—fizycznej czy umysłowej — są oni najzupełniej niezdolni. W dziedzinie więc nauki nic mogli pozostawić i nie pozostawili nic wiecznotrwałego. Kiedy Arabowie, rozfanatyzowani nową wiarą, rzucili się do podbojów, nie posiadali wówczas żadnego przygotowania naukowego, i jeśli rozwinęły się u nich umiejętności (filozofia, astronomia, matematyka, alchemia), to tylko jako następstwo naśladownictwa ludów podbitych: pierwsi kalifowie lubili otaczać się ludźmi uczonymi. A wreszcie i ci uczeni nie byli to Arabowie z krwi i kości, lecz zarabizowani obcokrajowcy, Syryjczycy, Grecy, Żydzi; nawet ci najsławniejsi z nich, Awerroes i Awicenna, nie mogą być etnologicznie zaliczeni do szczepu arabskiego. Wreszcie, uważany powszechnie za wynalazek arabski system dziesiętny cyfr, zapożyczony jest od Indusów.

Te same cechy charakterystyczne, które widzieliśmy u Arabów, możemy w dokładnej kopii odnaleźć i u Żydów. Obyczajowość ich— wbrew powszechnemu mniemaniu o podniosłości moralnej Biblii — wcale nie jest wyższa od arabskiej. Mordowanie dzieci, porywanie kobiet (*razzia* arabskie), nieobyczajność są tam na porządku dziennym. A to, że Pięcioksiąg surowo karci podobne grzechy, dowodzi tylko ich rozpowszechnienia.

I patryotyzm Izraelitów podobny zupełnie do uczucia narodowego Beduinów: poczucie wspólności plemiennej w szczupłem gronie ludu jakoby „wybranego,“ połączone z dziką fanatyczną nienawiścią ku tym, którzy wyznawcami Mojżesza nie byli. Liczne przykłady morderstw okrutnych, popełnionych na poganach, naiwnie opowiedziane w Biblii, dowodzą, iż moralność Izraelitów nie dalej zaszła od obyczajowości potomków Izmaela. Owa przesławiona moralność biblijna jest tylko ciasną wyłącznością klanową.

I umysłowość żydowska, jak i arabska, sama z siebie nic nie dała do skarbnicy wszechludzkiej. Poezya ich kwiecistością i barwnością stylu równa się arabskiej, lecz wiedzy, chociażby w formie zaczątkowej, w literaturze biblijnej niema ani śladu. Zaciekły, uparty fanatyzm, tłumił w zarodku wszelkie porywy ku światłu. Typową jest pod tym względem odpowiedź rabinów na pytanie, czy wolno Żydowi zajmować się filozofią grecką: „Bóg chce, abyście się zajmowali Zakonem dniem i nocą; a więc, jeśli pragniecie czytać Arystotelesa, musicie znaleźć taką chwilę, któraby nie była ani dniem, ani nocą.“ Jakże łudząco słowa te przypominają słynne orzeczenie Omara w sprawie — spalenia biblioteki aleksandryjskiej! I jeśli później rozwinęła się nauka u Żydów, to tylko dzięki temu, iż, rozproszeni wśród obcych ludów, pozbyli się dawnej wyłączności.

Jeden tylko lud semicki, Chaldejczycy, rozwinął tak umiejętności praktyczne (system irygacyjny pól, przemysł i handel), jak i wiedzę teoretyczną (arytmetyka, geometrya, astronomia); lecz pochodzi to stąd zapewne, iż Chaldejczycy nie byli plemieniem czysto semickiem, lecz powstali ze zlania się Semitów z dawniejszymi mieszkańcami Mezopotamii, niezbadanymi bliżej etnograficznie Kuszytami.

Tak więc cywilizacya europejska nie ma Semitom nic do zawdzięczenia. Przeciwnie — tak kończy swoje wywody Letourneau — przysłużyli się oni jej jak najgorzej: pod naporem Islamizmu legła w gruzy znaczna część starożytnego świata cywilizowanego, nad którym i teraz jeszcze ciąży twarda dłoń wyznawców Koranu; co zaś do Żydów, to ich dziki fanatyzm w Europie w ciągu całych stuleci odegrał tę samą rolę co islamizm, stawiając myśli wolnej nieprzezwyciężone przeszkody.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Pamiętnik Literacki, czasopismo kwartalne, poświęcone historyi i krytyce literatury polskiej, wydawane przez Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza. Rocznik I, zeszyt I. Lwów, 1902. (Prenumerata roczna koron 12, marek 12, rubli 6). 8°, str. 192. Składy główne u Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie i u E. Wendego i S-ki w Warszawie.

Kto porówna stan naszych studyów nad historyą piśmiennictwa z przed lat dziesięciu z obecnym, tego uderzyć musi niezwykle pocieszający objaw olbrzymiego, jak na nasze środki i warunki, rozrostu tych badań. Obok dyletanckich rozpraw, szkiców, sprawozdań, kompilacyj w ciągu tych lat ostatnich ukazuje się szereg poważnych i sumiennych studyów i przyczynków, przynoszących bądź olbrzymie bryły, bądź większe i mniejsze cegiełki do budowy przyszłego gmachu dziejów literatury naszej, który teraz zgoła inaczej wyglądać będzie, niż za czasów Zdanowicza czy Mecherzyńskiego. Wykryto, wydano mnóstwo nowych dzieł, nawet nowych autorów, wyszperano moc nieznanych szczegółów biograficznych, sprostowano nieskończony szereg błędnych wiadomości i zapatrywań. A przedewszystkiem zdobyto nową metodę *porównawczą*, o której nie śniło się przedostatniemu pokoleniu. Dzięki tej nowej podstawie badań, nie możemy już rozważać piśmiennictwa naszego w oderwaniu od innych, ani też, „zatrzasnawszy drzwi od Europy hałasów,“ na swojskiem boisku wyprawiać harców pseudoestetycznych; metoda porównawcza daje nam również podstawę z jednej strony do określenia warunków i genezy samej istoty twórczości poetyckiej, z drugiej— do przeprowadzenia jak najbardziej przedmiotowej analizy estetycznej.

Mają wprawdzie badania porównawcze olbrzymią jeszcze drogę przed sobą: w nieprzebytej dziewiczej puszczy sześćsetletniego piśmiennictwa naszego wykarczowano zaledwie niewielkie polany, nieliczni autorowie doczekali się wyczerpującego opracowania, reszta czeka na rękę i topór— ale droga została wytknięta.

Rzecz naturalna, iż z samego rodzaju tych badań wynika konieczność charakteru ich analitycznego: przekonawszy się, że pracę należy rozpoczynać od podstaw, zaprzestano szerokich uogólnień, które, oczywiście, musiałyby spoczywać na piasku, i rzucono się do monografij, przyczynków, zbierania i wydawania materyału surowego w zbiorach przeróżnych *Bibliotek*. Szczegół znamienny: od czasów Zdanowicza i Sowińskiego, przez cały szereg lat nie ukazała się w druku ani jedna historya literatury polskiej, obejmująca całokształt piśmiennictwa naszego, jeżeli, naturalnie, nie weźmiemy pod uwagę Kuliczkowskiego, który, jako zbiór luźnych materyałów bio- i bibliograficznych, za podręcznik „dziejów“ w nowożytnem znaczeniu tego wyrazu uchodzić nie może.

Wszakże, już pod koniec rozważanego okresu uwydatnia się nader wyraźna dążność ku scaleniu wyników drobiazgowej pracy monografistów; a poważne i na podstawie samoistnych badań ugruntowane próby syntezy dziejów naszego dorobku piśmienniczego, podjęte przez takich badaczów, jak Chmielowski, Tarnowski, Bruckner, przekonywają nas, iż ten prąd nie jest owocem przypadkowości.

Sympatycznym objawem tej dążności ku zogniskowaniu rozproszonej pracy historyczno-literackiej jest ukazanie się nowego czasopisma p. t. *Pamiętnik Literacki*, poświęconego „historyi i krytyce literatury polskiej.“ Wychodzi ono we Lwowie, staraniem Towarzystwa literackiego im. Adama Mickiewicza, pod redakcyą W. Bruchnalskiego, Br. Gubrynowicza i E. Porębowicza, ze stałem współpracownictwem A. Brucknera, Ig. Chrzanowskiego, K. M. Górskiego, J. Kallenbacha, St. Ptaszyckiego, St. Windakiewicza. W słowie wstępnem redakcya, poświęciwszy kilka słów obecnemu stanowi naszych badań historyczno-literackich, tak w dalszym ciągu określa swoje zadanie: „*Pamiętnik Literacki*, poświęcony historyi i krytyce literatury polskiej, wyrósł zatem siłą potrzeby; rozproszone do dziś dnia po pismach mniej specyalnych: rozprawy z zakresu wszystkich epok literatury polskiej, prace treści ogólnej i teoretycznej, rozbiory i sprawozdania krytyczne, materyały nieznane i niewydane, przeglądy bibliograficzne bieżącego piśmiennictwa naukowego, polskiego i obcego w dziale literatury— będą w nim mogły skupiać się ku pożytkowi badania i wygodzie badaczów.“

Leżący przed nami pierwszy zeszyt *Pamiętnika*, starannie wydany tom o 12 arkuszach ścisłego, lecz wyraźnego druku, formatu dużej ósemki, przekonywa nas, że redakcya zamierza wywiązywać się sumiennie i umiejętnie ze swego zadania. Materyał, zawarty w tym zeszycie, dzieli się na cztery działy: rozprawy, notatki, materyały oraz recenzye i sprawozdania; każdy zaś z tych działów ma układ chronologiczny. Tak więc między *rozprawami* na pierwszem miejscu widzimy ciekawe studyum St. Windakiewicza o polskich pieśniach miłosnych Jana z Czarnolasu p. t. „Erotyk Kochanowskiego“ (wiek XVI); dalej gruntowną pracę Ig. Chrzanowskiego „O satyrach Naruszewicza,“ opartą na szerokiej podstawie badań porównawczych i studyów nad rozwojem współczesnej poecie naszemu literatury satyrycznej (wiek XVIII); osnutą na nieznanych szczegółach biograficznych rzecz o „Karpińskim w Wiedniu“ K. M. Górskiego (w. XVIII); pierwszą część źródłowej pracy P. Chmielowskiego p. t. „Znaczniejsze teorye dramatu w literaturze polskiej“ (pierwsza połowa w. XIX), i wreszcie z wybornem znawstwem i przedmiotowością napisaną rozprawę E. Porębowicza o najnowszych prądach piśmiennictwa naszego w zestawieniu z obcem, p. t. „Poezya polska nowego stulecia.“

Taki sam układ znajdujemy w dziale *notatek*: są to drobne przyczynki i szczegóły życiorysowe lub bibliograficzne. Wyróżniają się tu artykuły: p. Nitowskiego o pierwszem wydaniu „Uwag“ ks. Baki (stwierdzający ich autentyczność), p. Kopii przyczynki do życiorysu A. Malczewskiego oraz badania autografów: J. Słowackiego przez B. Gubrynowicza i Z. Krasińskiego przez T. Piniego.

Co do działu *materyałów*, obejmującego tylko trzy tytuły, sądzimy, że redakcya mogłaby tu śmiało ograniczyć nieco swobodę piszących i nie podawać długich wyciągów archiwalnych *in extenso*; tak np. rzecz „Kanonikacye Piotra Skargi“ F. Bostela zajmuje 19 stronic druku, gdy zawarty w niej materyał historyczno-literacki dałby się streścić na kilku stronach. Wyszłoby to na korzyść innych działów, np. rozpraw, z których trzy w pierwszym zeszycie przerwane w połowie, co w kwartalnikach zwłaszcza uważalibyśmy wogóle za objaw mniej pożądany.

Za to dział *recenzyj i sprawozdań* nic prawie nie pozostawia do życzenia: są one gruntowne, wyczerpujące i liczne. Znajdujemy tu fachową ocenę blizko 30 dzieł, rozpraw i studyów, a wśród sprawozdawców spotykamy imiona F. Krčeka, A. Brücknera, P. Chmielowskiego, A. Mazanowskiego, A. Potockiego i innych, poręczające wartość naukową i szczerość wygłaszanych tu sądów.

Tak więc zeszyt niniejszy, poświęcony „Antoniemu Małeckiemu w ośmdziesiątą rocznicę urodzin“ wywiera pod każdym względem wrażenie nader dodatnie. Pierwsze to u nas usiłowanie skupienia licznej już teraz rzeszy historyków literatury około jednego ogniska i obudzenia wśród szerszej publiczności zamiłowania ku przeszłości piśmiennictwa naszego. Zasługuje więc *Pamiętnik Literacki* na żywe i gorące poparcie ze strony inteligentnej części społeczeństwa. Oby mu jak najdłużej świeciła gwiazda szczęśliwa!

H. Galle.

Stan obecny literatury francuskiej.

Kilkanaście lat temu, kiedy we Francyi w krytyce bieżącej rej wodzili tacy pisarze, jak I. Lemaitre, A. France itp., panowały wśród krytyków zasady bardzo liberalne. Utrzymywano wówczas, że krytyk powinien „kochać swoich współczesnych“ (autorów), albo „przez dzieła wypowiadać przygody duszy własnej.“ Krytyka — z wyjątkiem bardzo surowych jej przedstawicieli, w rodzaju Brunetière'a — poszukiwała przyjemności dla siebie i dla czytelników, odwoływała się w tym celu do różnorodnych źródeł rozkoszy estetycznej i czytelnikowi to samo doradzała. Stąd płynęły rozmaite jej uprzejmości, elegancye i chwiejne, pełne wdzięku i sceptycznej wyrozumiałości, usposobienia.

We Francyi zmienia się wszystko prędzej, niż gdzieindziej — niedługo też trwał i powyższy nastrój krytyki. Już dzisiaj rzadko się mówi o obowiązku krytyka „kochania swoich współczesnych,“ a wyłącznie osobistych przyjemności krytycy nie poszukują. Teoretycy symbolizmu, zwolennicy tego ostatniego zwrotu w twórczości francuskiej, dość bezwzględnie przeciwstawiają swoje reguły twórcze dawnym formułom i przepisom, surowo obchodzą się z poprzedzającymi ich kierunkami sztuki, z naturalizmem w powieści i dramacie, z parnasizmem — w poezyi (pomiędzy innymi, A. Beaunier, G. Kahn, R. de Gourmont itp.).

Nie brak także i tego rodzaju krytyków, którzy, nie zabierając głosu w obronie jakiegoś określonego kierunku literackiego, ustępującego lub powstającego, kwestyonują stanowczo całość wysiłków, wszelkie „siły i środki“ twórczości i żadnych względów dla współczesnych jej przedstawicieli nie mają.

Podobne usposobienia żywią najczęściej krytycy, niezwiązani z tych lub owych powodów z żadnym prądem literackim, z żadną sektą estetyczną; albo ci, co należą do najmłodszego pokolenia, które próbuje wszystkiego, niczem się nie zadawala, do tego, co istnieje, przywiązać się nie może, gdyż nie odpowiada to jego ideałom, bronić zaś czego jeszcze niema, bo nic wyraźnego własnym wysiłkiem nie wytworzyło.

Tak niegdyś zachowywał się wobec literatury swego kraju błyskotliwy pisarz Ernest La Jeunesse (p. *Les nuits, les ennuis et les âmes de nos plus notoires contemporains*), który z szyderstwem portretował swoich wybitniejszych „współczesnych“ i pragnął przeszacować na nowo wszelkie „wartości“ literackie; podobnie, chociaż z mniejszym talentem, postępował krytyk L. Mühlfeld (w książce *Le monde ou l'on imprime*) i wiele innych.

Ostatnio najboleśniejszy cios wymierzył literaturze francuskiej I. Ernest-Charles, krytyk mocnego talentu i nieskłonnego do kompromisów usposobienia, w ciekawej książce p. t. *La littérature française d'aujourd'hui* (1902 r.). Jest to szereg charakterystyk większości żyjących, wybitniejszych, pisarzy francuskich; są tu poeci, powieściopisarze, krytycy, historycy itp. Charakterystyki bardzo dosadne, pozbawione wszelkiej uprzejmości i „należnego szacunku,“ jak najmniej lubujące się w wyjątkowych stanach duszy autorów współczesnych. To wszystko raziłoby nieraz swoją gburowatą prawdomównością, gdyby mniej było trafnem i szczerem, gdyby również nie drgała tu nuta istotnej troski o przyszłość literatury ojczystej.

Pracę swoją poprzedził krytyk poglądem ogólnym na stan obecny literatury francuskiej. Autor stwierdza naprzód fakt, że od lat kilkunastu, żadna szkoła twórcza nie potrafiła zapewnić sobie przewagi i nadać tonu całokształtowi twórczości; że z chwilą nadwyrężenia wszechwładzy naturalizmu, który miał niegdyś tę wyższość nad innymi, literatura francuska waha się pomiędzy rozmaitymi wpływami i kierunkami, wymyka się zarówno psychologizmowi nikłemu, jak i symbolizmowi chwiejnemu, jest niezdecydowana, niespokojna i słaba. Stan podobny jest następstwem tego, że od dwudziestu lat, żaden geniusz twórczy nie raczył się pokazać i narzucić rzeszy piszących swojej dyscypliny umysłowej i moralnej. Wskutek tego twórczość E. Zoli zbyt długo i szeroko promieniowała na literaturę francuską, a on sam, ponieważ miał moc przekonania i energię metodyczną, samowolę i wyraźność, narzucił się swoim współczesnym do tego stopnia, że uosabia cały ruch literacki, a chwała jego trwa wciąż, chociaż wpływy ustały. Podczas gdy Zola zajęty był uporczywie rozpowszechnianiem paru idej ciasnych i częściowo tylko słusznych, inni, po za nim i naprzekór jemu, usiłowali systematyzować, ustalić doktrynę literacką, założyć szkołę, gdyż na to tylko mogli się zdobyć. Zjawia się P. Bourget — siostrzeniec G. Ohneta, jak go nazywa, pastwiący się krytyk — młodzieniec poważny, staranny i przykładający się do wszystkiego, nawet do „nonszalancyi.“ Dbał on o wszelkie elegancye, stworzył pracowicie mnóstwo snobizmów ciasnych, analizował kobietę i mężczyznę, będąc pozbawionym zdolności obdarzania ich życiem. Ten naturalista duszy ludzkiej, poświęca swoją psychologię „ludziom ze świata“ (*gens du monde*); jest ona fałszywa i oszukańcza, stojąca po za prawdą. Książki jego przeładowane są dzieciństwami, długo rozważanemi. Jest cierpliwy, śmieszny, szczery, gdyż ostatecznie oszukuje siebie samego—dokuczliwy i rozrzewniający. Imponuje powtarzaniem skrupulatnem swych sposobów, monotonią swoich książek. Bourget bohaterów powieściowych bierze z t. zw. „świata“ i tam dlatego znajduje mnóstwo gorących wielbicieli, których próżności dogadza. Ponieważ skodyfikował wszelkie elegancye, uroki, udawania intelektualne i moralne tego małego światka, przeto szyderski krytyk nazywa go baronem Staffe (znana autorka rozmaitych „kodeksów światowych“).

Obok tego barona psychologii światowej stawia autor pisarza, o którym ironicznie powiada, że niesłusznie jest zapoznany przez współczesnych, mianowicie powieściopisarkę Gyp'a... Nazywa ją matką-żywicielką wielu powieściopisarzy „bardzo paryskich,“ także psychologów, moralistów i sceptyków, którzy ją naśladowali, kopiowali i okradali, dość maltretując za to wszystko. Gyp bardziej jeszcze od Bourget'a wpłynęła na zmianę osób romansów współczesnych — w większym stopniu niż Bourget przyczyniła się do wzrostu wśród demokracyi francuskiej uwielbienia literackiego dla „wielkiego świata.“ A więc: Zola, Bourget, Gyp—oto trzy najbardziej decydujące czynniki życia literackiego. Wpływy tych autorów kojarzą się i wspierają wzajemnie. Od Zoli przejęto niejaką zdolność spostrzegania prawdy życia, od Gyp'a zapożyczono skłonność do brania bohaterów z pośród „wielkiego świata i wielkiego życia“; od Bourget'a wreszcie uwielbienie naiwne, które się odzywa nawet w kaznodziejstwie moralizującem i zdaje się świadczyć, że ci „ludzie ze świata“ sprawiają piszącym wielki zaszczyt, dostarczając im materyału do pisania. W miarę jednak, jak słabnie władza indywidualna założycieli szkół, nauki ich stają się bezpłodnemi, doktryny się rozluźniają. Obecnie literatura zatacza się, pozbawiona równowagi, pomiędzy powyższemi dążnościami, nieudolna, nikła, miotająca się bezsilnie wśród tego haniebnego upadku. A jest on podwójny: umysło-

wy i moralny. Przyczyną jego jest nietylko brak szkół w literaturze, ani rozmaitość kierunków wątpliwej wartości, lecz niestety, zepsucie indywidualne samych pisarzy, zdemoralizowanie ich duszy. Handlarstwo jest piętnem naszych czasów, otóż pisarze francuscy — podług Ernesta-Charles'a — pragnęli być synami „ducha czasu“ i stali się wspólnikami mamony, oni, którzy, bardziej niż kto inny, byli powołani do tego, by oprzeć się jej wpływom poniżającym.

Ich literatura stała się zwyczajnym przemysłem, a jest to najniższy jego rodzaj. Autor kreśli obraz stosunków literackich, wyrosłych na tle komercyalizmu powyższego, zaznacza współudział płatnej reklamy w wytwarzaniu *przesadnego* lub *przedwczesnego* rozgłosu i chwały autorskiej i zwraca uwagę na wpływy rozmaitych koteryj i salonów towarzyskich, decydujących częstokroć o niej. Opanowani, tyranizowani i kierowani przez żądzę zysku, pisarze francuscy sami się zdemoralizowali i znieprawili literaturę tak, iż stała się zepsutą i niegodną poważania. Tak opłakany stan, nieudolność twórcza i to, że żaden z pisarzy francuskich nie promieniuje po za granice swego kraju, sprawiły wtargnięcie przedstawicieli obcych literatur do literatury francuskiej. Autor z ubolewaniem odzywa się o tem najściu „barbarzyńców“ — Słowian, Skandynawów, Anglo - Saksonów — i zwraca uwagę na rolę tych środków bezwstydnych, jakich przemysł literacki używa w celu rozpowszechnienia autorów obcych.

Wszystkie te przyczyny obniżenia i zanieczyszczenia literatury ojczystej przejmują autora grozą, i nią też widocznie natchniony, przechodzi, po tym wstępie ogólnym, do energicznego charakteryzowania pisarzy żyjących, stanowiących o dzisiejszej literaturze francuskiej.

Nikt tu nie został oszczędzony, każdy usłyszał prawdę całkowitą.

(D. n.) *Wł. Jabłonowski.*

PRZEGLĄD TEATRALNY.

J. A. Kisielewski: *W sieci*, studyum sceniczne w 3-ch aktach a 4-ch odsłonach.

„Wesoły dramat“ p. Kisielewskiego odtwarza smutną historyę jakich wiele o losach „szalonej Julki,“ która z oburzeniem odtrącała przez chwilę śmieszną rolę panny na wydaniu, czuła się i zostać pragnęła człowiekiem, człowiekiem tylko, i miała podobno w duszy palący płomień porywów artystycznych, lecz— zgodziła się dość prędko, bez silniejszego oporu, bez właściwej walki i buntu, bez jakiejkolwiek konieczności wewnętrznej lub nawet zewnętrznej, na objęcie zaszczytnego stanowiska pani sędziny czy radczyni, a teraz, nim nudy i pustka wewnętrzna dalszego życia nauczą ją większej praktyczności w tych sprawach, urządza w przebraniu pazia, w towarzystwie rzekomej przyjaciółki, najzwyklejszej kokoty salonowej, improwizowaną schadzkę na półświatkowej maskaradzie z tym właśnie, który całą potęgą młodej, entuzyastycznej duszy usiłował ją wyrwać z zatęchłego bagna stosunków filisterskich i ułatwować dla sztuki, dla prawdziwej miłości, dla jej własnego człowieczeństwa.

Tyle i, niestety, tyle tylko, co zresztą przyjacielskiej krytyce nie przeszkodziło bynajmniej uderzyć w wielki dzwon reklamy, uznać „W sieci“ p. Kisielewskiego za małe arcydzieło, a histeryczne rysy w charakterze czy temperamencie bohaterki utworu podnieść wprost do wyżyn genialności. I rzecz dziwna. P. Kisielewski napisał i wystawił przed paru laty „Karykatury,“ rzecz pierwszorzędnej wartości scenicznej; p. Kisielewski posiada niewątpliwie ów przyznawany mu powszechnie „nerw“ dramatyczny i zapewne nie omieszka obdarzyć nas w przyszłości niejednym jeszcze utworem cennym. My jednak nie mamy cierpliwości poczekać aż do tej chwili i nagradzamy papierowymi wieńcami i pomnikami z piasku pierwsze jego wypracowanie studenckie, w którem, w morzu frazeologii i zbytecznych lub zgoła nużących szczegółów, odnaleźć można z pewnością niejeden dowód talentu i umiejętności odczuwania życia, ale które, w części pierwszej zwłaszcza, wystawionej świeżo w teatrze Rozmaitości, nie jest jeszcze dziełem sztuki, lecz tylko nagromadzonym chaotycznie stosem surowego kruszcu, z którego ręka artysty mogłaby zapewne stworzyć dopiero posąg śpiżowy.

Powie kto może, iż pierwszy dramat autora „Karykatur“ stracił na przystosowaniu do warunków scenicznych, że winą jest ołówka reżyserskiego, iż niektóre postacie sztuki nie tłomaczą się należycie, niektóre sytuacye kłócą się z sobą zawzięcie. Ależ, pomijając okoliczność, że w tej formie, w jakiej ukazał się w druku, był on dla żadnej sceny nieprzydatny, zaznaczyć musimy, że przed sformułowaniem o nim wypowiedzianego przed chwilą sądu, przestudyowaliśmy w całości czterdziestoarkuszowy blizko tom wydania książkowego, lecz nie znaleźliśmy w nim wyjaśnienia ani jednej z szeregu wątpliwości psychologicznych, które się nasuwają w teatrze. Przeciwnie raczej.

Weźmy choćby szczegół taki, jeden z najbardziej rażących. Julka, „szalona Julka,“ której nie wahano się przy odgłosie trąb i puzonów pasować na heroinę w wielkim stylu, na złamaną przez warunki życia bohaterkę idei, która zresztą sama powtarza co chwila, że jest lwicą, zaplątaną w sieci, a pod wpływem ekstatycznego podniecenia na widok „Szału“ Podkowińskiego, nie cofa się przed przypuszczeniem, iż w chwili, gdy „gorącem zachwytu i wilgocią warg“ dotknęła obrazu, „dusza jego twórcy przeszła w jej duszę, że jego duch i jej dusza to jedno,“ ta Julka ma w akcie drugim kilka scen ładnych z kochającym ją napół bezwiednie i pragnącym ją ratować Jurkiem. Obiecuje mu zaufać i wierzyć, że przy jego pomocy „od jutra“ zacznie się dla niej nowe życie, że pozbędzie się narzuconego konkurenta, że od jutra „wszystko się zmieni.“ Jurek wyjeżdża na dzień jeden dla zdobycia środków, które ułatwić jej mają uszlachetnienie i skierowanie w górę „tego olbrzymiego ognia, który płonie w jej krwi, w jej duszy,“ a ona, ta wyrywająca się z sieci lwica z duszą niby wielkiego artysty, po dziecinnej próbie buntu i chwilowym wybuchu oburzenia, że ją właśni rodzice sprzedają *zbyt tanio*, jak chorą jałówkę, nietylko może rozmawiać spokojnie ze swym nabywcą, operetkowym komiwojażerem czy sędzią Rolewskim, nietylko nie odrzuca ze wstrętem jego pocałunków i pieszczot, lecz sama, na wiadomość, że po ślubie *wolno jej będzie* malować, zarzuca mu ręce na szyję, *wpija się w jego usta* i, jak wyjaśnia potem w rozmowie z Jurkiem, daje się porwać i bierze go (na razie zresztą wyobraźnią więcej, niż czynem), „jak wy bierzecie kobiety,“ bo ją trawi żądza, bo jej wszystko jedno, kto jest przy niej, i tylko wstyd ją potem, że musi okłamywać „najpoczciwszego z ludzi.“ Ach tak... Lecz w takim razie myli się biedny Jurek, wołając w uniesieniu, że jej małżeństwo z Rolewskim jest nikczemniejszym mezaliansem, niż związek księżniczki z lokajem, bo ona sam tego nie odczuwa, odczuć nie może i zdolna jest tylko, w przystępie histerycznych uniesień, do wyrzucania z piersi tyrad i frazesów, aby o nich zapomnieć zupełnie za zbliżeniem się takiego nawet dobrodusznego kretyna w męzkiem ubraniu, jak jej interesujący narzeczony, a następnie prawy małżonek. A jeśli tak, to gdzie tu miejsce na bohaterstwo istotne, na prawdziwą walkę z demonami życia? Skąd prawo do przypuszczenia, że w innych warunkach wyrosłoby z takiej Julki coś więcej, niż histeryczna panienka, którą czemprędzej za mąż wydać trzeba, może zresztą mniej lub więcej utalentowana malarka „z intuicyą erotyczną“? Takich nam nie brak, i w gruncie rzeczy bohaterka sztuki p. Kisielewskiego jest typem bardzo zwykłym i pospolitym, ciekawym może dla lekarza, lecz pozbawionym jakiegokolwiek hartu ducha, rzeczywistego ukochania ideału i poczucia swej ludzkiej godności, możemy więc śmiało przejść nad nią do porządku dziennego, choćby nas jeszcze zapewniła gołosłownie sto razy, że w jej rozszalałej piersi umieścił się płomienny duch Podkowińskich... Bagatela!...

Jedyną w sztuce postacią szczerze dramatyczną, mogącą wzbudzić istotne zainteresowanie i traktowaną już nawet z pewną dojrzałością twórczą, choć nie bez zbytecznego balastu nużących drobiazgów i szczególików, jest młody student i początkujący nowelista o kryształowej, choć zmanierowanej duszy, Jerzy Boreński. Ten naprawdę cierpi i walczy, ten mimo klęskę pozorną nie padł i nie padnie w walce. Strawi go może choroba, której zaczątki nosi w piersiach, ale nie życie samo, to nędzne filisterskie życie, któremu bez wahania umie zawsze cisnąć rękawicę.

Przyznać trzeba, że p. Roland, któremu powierzono tę rolę, umiał w nią wlać dużo szczerości i zapału; grał duszą, nie zniżając się ani na chwilę do wygodnej rutyny i szablonu. Jest to artysta, którego talent rośnie w oczach i z którym nie od dzisiaj liczyć się trzeba poważnie. Trudna rola Julii wymaga również ogromnej szczerości i siły, których jednak, mimo zalety pojedynczych scen i szczegółów, nie znaleźliśmy naogół w grze p. Ireny Trapszo. W Krakowie odtwarzała tę rolę Siemaszkowa, u nas jednak w obecnym składzie personelu nie widzimy, co prawda, artystki, któraby się z niej potrafiła wywiązać bezwzględnie dobrze. P. Rapacki i p. Niewiarowska, jako małżonkowie Chomińscy, mieli nietrudne zadanie przypomnienia sobie którejkolwiek z ról dawno ogranego repertuaru. Uczynili to naturalnie — bez zarzutu. P. Żelazowski wydał mi się za starym Bronikiem, o którym przecież afisz nawet głosi, że jest to „młody malarz.“ Ten udający górala cygan artystyczny z góry przytem przewidywać nam kazał swój nieszczęśliwy koniec na stryczku, choć katastrofa nastąpić ma dopiero w części drugiej. Posępne zabarwienie gry nie raziłoby zresztą, gdyby artysta chciał połączyć je z odrobiną chociaż młodzieńczego temperamentu, którego takim Bronikom w rzeczywistości nie brak nigdy. P. Frenkiel i p. Śliwicki, jako artyści prawdziwi, umieli nadać cechy szczerości i życia bezbarwnym dosyć i w różnych kierunkach przesadzonym postaciom Rolewskiego i Serby. Dobrą, trochę jednak naśladującą p. Ludową, kokietką i uwodzicielką była p. Siennicka, sympatycznym podlotkiem — p. Palińska.

Wł. Bukowiński.

Notatki literackie i artystyczne.

— August Kreczmar: *Poezye pośmiertne*, Warszawa 1902, skład główny w księgarni E. Wendego i S-ki.

Po zmarłym przed rokiem pedagogu, Auguście Kreczmarze, pozostał zbiorek poezyj, który obecnie staraniem jego uczniów został wydany. Nie są to wysokie wzloty, szerokie

rozmachy skrzydeł; poezyi tej brak filozoficznej głębi, brak namiętniejszych porywów serca, z czego autor sam sobie sprawę zdaje, mówiąc: „Niewymyślne moje pieśni Skrzypka prosta, stara... O uczonych trelach nie śni,— Od popisów wara,“ bo „instrument—żal się Boże, I śpiew nieuczony.“ Ale jest w tych pieśniach nuta szczerego liryzmu, pełnego prostoty i rzewności, w tych zwłaszcza utworach, z których odzywa się ton goryczy, smutne westchnienie pod ciężarem życia, które innemi poszło drogami, niż roiło się młodzieńcowi w jego wzniosłych i szczytnych marzeniach. „Długiego życia ja sobie nie wróżę, Bom się uchodził za kawałkiem chleba, Bom uznojony, i spoczynku trzeba: życiowym bojem się nużę,“ skarży się boleśnie poeta i dodaje ze smutkiem:

„...W przeliczne zakręty życiowej drogi wpatrzyłem się cichy, I jestem wstydem, jestem zgrozą zdjęty, Że plon życiowy tak lichy.”

Taka skarga, a raczej ujmująca szczerością spowiedź czystego serca może wyjść tylko z ust człowieka szlachetnego. Takim też był A. Kreczmar, według świadectwa autora „Przedmowy“ do niniejszego zbiorku, jednego z uczniów nieboszczyka, p. Ign. Chrzanowskiego. To też „Poezye pośmiertne“ będą stanowić niewątpliwie miłą pamiątkę dla całego szeregu uczniów zmarłego profesora. Dochód z rozprzedaży został przeznaczony na fundusz stypendyalny im. Augusta Kreczmara. *h.*

LITERATURA. H. Ułaszyn: „O Janie Potockim i literaturze Kaukazu.“

FILOZOFIA. Dr. H. Nusbaum: „Czem jestem?“ Nakł. Treptego.

— W. M. Kozłowski: „Królestwo ideałów i odkupienie estetyczne.“ Kraków. Skład u Wendego.

EKONOMIA i HANDEL. A. Szelągowski: „Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII w. w Polsce.“ Lwów, nakl. Tow. wydawn. Skład u Sadowskiego.

— H. Chankowski: „Ekonomia i terminologia handlowa.“ podręcznik. Nakł. Kursów buchhalteryjnych Chankowskiego.

— W. Kocent-Zieliński i W. Kierst: „Podręcznik do korespondencyi kupieckiej w pięciu językach.“

SPOŁECZNE. Z. Daszyńska-Golińska: „Wywiady nad położeniem robotników w Krakowie.“

PRZYRODA. M. Centnerszwer: „Teorya jonów“ (rozwój i najnowsze kierunki), nakł. Centnerszwera.

MEDYCYNA i HYGIENA. Dr. E. Biernacki: „W sprawie patologii i terapii nerwic czynnościowych.“ Skład u Wendego.

— Prof. dr. F. Moritz: „Zasady żywienia chorych,“ odczyty dla studentów i lekarzy. Przekł. z niem. Landaua, wyd. dr. T. Dunina. Skład u Wendego.

— Dr. S. Świętochowski: „Zasady hygieny,“ wskazówki popularne pielęgnowania zdrowia. Przekład z niem. Gebethner i Wolff.

ROLNICTWO. Dr. A. Sempołowski: „Wyniki prac i doświadczeń, wykonanych od 1 lipca 1900 do 1 lipca 1901 r. przez stacyę doświadczalną w Sobieszynie.“

WYCHOWANIE. J. Wedel: „Matka i dziecko,“ wychowanie fizyczne i moralne do lat siedmiu. Przekł. St. S. Gebethner i Wolff.

WYDAWNICTWO IMIENIA ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO. „Materyały do odczytów ludowych“: 1) „W naturze nic nie ginie,“ S. K., 20 k.; 2) „Jak się ludzie nauczyli gotować,“ Lippert, 15 k.

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH. Wydawnictwo M. Arcta: Dr. St. Kopczyński: „Znużenie,“ 10 kop.

— H. Galle: „Aleksander Świętochowski, jako beletrysta,“ 15 kop.

— St. Brzozowski: „Józef Kremer,“ 15 kop.; „Hipolit Taine,“ 20 kop.

— S. Bouffall: „O powietrzu,“ 10 kop.

— M. Muttermilch: „Zasady estetyki,“ 20 kop.

— J. B. Marchlewski: „Ekonomia polityczna,“ 15 k.

— St. Kempner: „Giełda, jej istota, cele i ustrój,“ 10 kop.

— Z. Daszyńska-Golińska: „Nauka o ludności,“ 10 k.

— J. H. Kochanowski: „Heraldyka,“ 20 kop.

— W. Sterling: „Cierpienia nerwowe, ich przyczyny, objawy i leczenie,“ 15 kop.

— F. Łagowski: „Historya literatury polskiej do w. XVI,“ 10 kop.

POEZYE

Do A. G. B.

Otchłań pod Tobą rozwarła się czarna,
zagrały do snu dzwony pogrzebowe,
i posypała się ziemia cmentarna
na zacną, w znoju posiwiałą głowę...

W trumnie złożone, wynędzniałe ciało
spoczęło cicho w łonie szarej ziemi...
Nad Twym się grobem niebo rozpłakało—
kroplami deszczu, jak łzami rzewnemi...

. . . .

Nie zamieniłam nigdy z Tobą słowa,
nie znałam nawet głosu twego brzmienia—
zdrętwiałam jednak, gdy mię wieść grobowa
dosięgła, struną targnąwszy istnienia...

Potem—namiętną, niewstrzymaną strugą,
niby po stracie kochanego brata,
z oczu gorące łzy płynęły długo...
Ktoś dziwnie bliski ubył z tego świata...

. . . .

A ja marzyłam, że gdy na mem niebie
umilkną wichry burzliwe i groty,
zanucę cudną piosenkę dla Ciebie,
jasną i ciepłą, jak słonka blask złoty...

Taką pogodną, jak niebios lazury,
i taką szczerą, jak dziecka kochanie...
Tak melodyjną, jak słowicze chóry,
i taką prostą, jak fujarki granie!...

. . . .

Śniłam, że miękką pieśni mej pieszczotą
umilić zdołam jedną chociaż chwilę...
że w pasmo życia nitkę wplotę złotą...
Próżne marzenia!... Tyś w zimnej mogile...

Tak wrażliwego na poezyi tony
już najcudniejsza melodya nie wzruszy!...
Nie rozpłomieni oczu—śpiew spóźniony
Nie rozrzewni Cię łkanie mojej duszy...

. . . .

Czemuż milczałam... może pieśń-pieszczota
mogła złagodzić przedśmiertne męczarnie...
lub struny nerwów wzmocnić, jak pozłota,
nim je rdza bólu przegryzła bezkarnie...

Idąc wśród grotów w światło drogą twardą
Twej niej dostrzegłam rozwartej mogiły...
Blada—lecz z czołem podniesionem hardo
przeszłam... Tumany Ciebie zasłoniły...

. . . .

I nagle—dzwony jękły pogrzebowe,
otchłań przed wzrokiem rozwarła się czarna,
i posypała się na twoją głowę,
ziemia wilgotna, ponura, cmentarna...

Zniknąłeś w mogilnej przepaści gdzieś na dnie...
już Cię z niej żadna nie wyrwie moc w świecie...
Więc choć na grób Twój świeży niech upadnie
łzami oblane, smutne pieśni kwiecie!...

Marya Remiszewska.

SPRAWY EKONOMICZNE

Teorya o przesileniach wobec faktów.

V.

Przyjrzyjmy się nieco bliżej tym machinacyom, gdyż są one typowe: Trust reguluje rynek, to znaczy — reguluje podaż na rynku; warunki popytu są jednakże niezależne od niego. Ma on zatem tylko możność ograniczania produkcyi w miarę tego, jak zmniejsza się popyt. Jednakże trust nie zmniejszał produkcyi w miarę zmniejszania się popytu; wolał on wywozić nadmiar produkcyi i nagromadzać zapasy, aby „uwolnić rynek,“ utrzymać ceny wysokie. Jak powiedzieliśmy, kierowały tu trustowcami względy na giełdę, jednakże wchodzą w grę i inne jeszcze rachuby: ograniczenie produkcyi pociąga za sobą prawie zawsze, a już na pewno w przemyśle kopalnianym, zwiększenie kosztów produkcyi na jednostkę towaru. Jeżeli bowiem urządzenie kopalni jest takie, że produkuje ona, powiedzmy, 100,000 t. miedzi, to redukcya tej ilości o 20% nie spowoduje obniżenia kosztów na 20, lecz zaledwie na 15%. Koszty produkcyi za tonę miedzi będą zatem większe, stopa zysku zmniejszy się. To wprowadza z konieczności czynnik spekulacyjny, gdyż pozostanie do rozstrzygnięcia, czy przy danem położeniu rynków korzystniejszem jest utrzymanie wysokich cen na rynku wewnętrznym, sprzedając resztę produkcyi na rynkach obcych po cenie zniżonej. Tu więc zaczyna się ocena konjunktury, obliczenia zawodne. A stąd znów wynika, że dopóki związki przedsiebiorców muszą się liczyć ze zmienną konjunkturą rynku, dopóki ogarniają tylko część ogółu produkcyi, czynnik spekulacyjny odgrywa taką samą rolę, jaką odgrywał dawniej. Zachodzi wszakże różnica taka: dawniej każdy z przedsiebiorców robił obliczenia na własną rękę; ryzyko dla każdego z nich było większe, lecz ponieważ na rynku wahania, wynikające z błędnych spekulacyj, były mniej doniosłe, stopniowo przeto dochodził do równowagi; tymczasem błędne obliczenie ze strony trustu musi wywołać odrazu gwałtowny przewrót. Jeżeli zaś trust w swojej polityce kieruje się względami ażyotażu, to niebezpieczeństwo jest tem większe. Takie zaś względy w Stanach Zjednoczonych stale kierują trustami. Jeszcze bardziej rażącym, niż trust miedziany, jest przykład machinacyi p. Gates, w maju 1900 roku. Pan ten był kierownikiem „American Steel and Wire Company“ (Amerykańskie Towarzystwo dla produkcyi stali i drutu), jednego z najpotężniejszych naówczas trustów w przemyśle żelaznym; ogłosił on nagle zamknięcie 12 zakładów trustu; powstała panika, gdyż wywnioskowano, że grozi przesilenie w przemyśle żelaznym; wnet okazało się jednak, że celem właśnie było wywołanie tej paniki, gdyż p. Gates poprostu spekulował *à la baisse* i zarobił grubo na zniżce kursu akcyj, kierowanego przez siebie, przedsiebiorstwa. Skoro potęga spoczywająca w rękach trustowców może być w taki sposób wyzyskiwaną, staje się ona oczywiście nader niebezpieczną dla ogółu. Drugim objawem ogólnym jest, że trusty amerykańskie ani na chwilę nie myślały o tem, by okiełznać produkcyę w czasie konjunktury zwyżkowej, przeciwnie, przez cały czas rozszerzały one produkcyę do ostatnich granic, a zarazem podwyższały, bez przerwy ceny na rynku wewnętrznym. W ten sposób przyczyniają się do „rozdęcia“ produkcyi,“ nie zaś jej przeciwdziałają.

W Niemczech czynnik spekulacyjny w operacyach syndykatów o tyle odgrywa mniejszą rolę, że tu przedsiebiorstwa pod względem finansowym pozostają niezależne, każde z towarzystw złączonych zachowuje swoje akcye i wypłaca dywidendy niezależnie od innych; wobec tego niema oczywiście bezpośredniego ażyotażu akcyami danego syndykatu, gdyż niema akcyj. Pośrednio jednakże względy giełdowe i tu wpływają, gdyż kurs akcyj towarzystw syndykowych oczywiście nie będzie nigdy obojętnym dla akcyonaryuszów, a tem samem dla kierowników przedsiebiorstw i zarządu syndykatu. Znaczenie przeważne miała jednak w Niemczech polityka cen przy ocenie działalności syndykatów. Wszystkie bez wyjątku syndykaty podwyższały ceny do możliwych granic. Wprawdzie

przychylna im prasa wygłaszała bezustannie szumne tyrady o „umiarkowaniu,“ jakie pod tym względem związki okazywały; te same twierdzenia ponowił nawet w sejmie pruski minister Brefeld. Cyfry jednakże mówią zgoła co innego. Najpotężniejszymi są syndykaty: węglowy i żelazny w Westfalii i prowincyi Nadreńskiej; jak więc ukształtowały się ceny pod wpływem tych syndykatów? Według statystyki urzędowej surowiec (wytopiony systemem Thomasa) wynosił w 1892 r. 45,5 marek za tonę; na tym poziomie pozostała cena do r. 1985, od tego zaś czasu wzrasta bez przerwy i w r. 1900 wynosiła 78 marek; to znaczy podniosła się o 73,3%. Notowania urzędowe są podawane tylko przeciętnie za cały rok, tymczasem pod koniec r. 1900 i na początku roku bieżącego ceny były jeszcze wyższe nieco. Zwyżka o 73,3% wystarcza jednak chyba; jest to wprost lichwa towarowa. Jeszcze więcej, bo o 96% podskoczyła w tymże czasie cena żelaza pudlingowego. Cena węgla podniosła się o 30—33, cena koksu o 100%. Syndykat kopalń soli potasowych zdołał nawet podwyższyć cenę z 35 do 90 fenigów za centnar, to znaczy o 170%. Syndykaty, które, jak kopalnie, nie posiadają monopolu i nie zdołały usunąć konkurencyi, pomimo to podwyższały cenę bardzo znacznie, tak np. cenę papieru podniesiono o 33, blachy o 40, drutu o 35% itd. Obrońcy syndykatów twierdzą wobec tego, że nie wiadomo, czy bez tych związków ceny nie podniosłyby się jeszcze wyżej. Obrona nieco dziwna, zakrawa bowiem na to, że: mógł rzezimieszek zabrać kubrak i czapkę, a zabrał tylko kubrak, więc jest bardzo zacnym dobrodziejem. Lecz zdaniem naszem ta obrona nie wytrzymuje krytyki. Bywały wprawdzie położenia, w których producenci żelaza i węgli mogli byli otrzymać jeszcze wyższe ceny, a jeżeli ich nie otrzymali, to nie przez dobroduszność, lecz dlatego, że nie mogli dostarczyć towaru: produkcya była napięta do ostatnich granic, a dostawy zakontraktowane na długi termin. Jeżeli więc chwalą „umiarkowanie“ syndykatów, to umiarkowanie w tem się chyba wypowiada, że syndykaty nie zerwały kontraktów, tj. nie dopuściły się czynu, który nie uchodzi nawet wobec etyki kupieckiej. Lecz bywały wypadki i tego rodzaju skandalicznych wybryków. Syndykat koksowni zawarł był np. w końcu 1899 r. kontrakty z odbiorcami na rok 1900 po cenie 14 marek; na początku jednak r. 1900 postawił tym odbiorcom żądanie, aby zakontraktowali koks na r. 1901 po cenie 17 marek za ilości dostarczone w 1900 jak w 1901 r., w przeciwnym razie odmawiał dostaw na ten ostatni rok, i odbiorcy musieli przyjąć warunki, pomimo że kontrakty na dostawę żelaza w r. 1900 zawarli byli, obliczając cenę na zasadzie zakontraktowanego koksu, musieli, gdyż groziła obawa zawieszenia produkcyi. Mogliby wprawdzie założyć własne koksownie, lecz w takim razie przyszłoby im chyba węgiel sprowadzać z zagranicy, gdyż syndykat węglowy sprzedaje węgiel zdatny do koksowania tylko syndykatowi koksowemu.

Bezwzględne wyzyskanie pomyślnej konjunktury dla podniesienia cen do wysokości lichwiarskiej, oto jedna strona działalności syndykatów niemieckich. Druga na tem polega, że syndykaty zdołały ceny na artykuły surowe i pomocnicze utrzymać na dawnej wysokości wtedy jeszcze, gdy ceny produktu gotowego uległy już zniżce. Tem właśnie przyczyniły się do zaostrzenia przesilenia. Producenci np. kotłów parowych musieli zgodzić się pod koniec 1899 r. na ceny blachy, podyktowane przez syndykat walcowni blachy, musieli odebrać zakontraktowane ilości towaru pod groźbą wysokich kar konwencyonalnych; tymczasem zapotrzebowanie na kotły zmniejszyło się, obstalunków nowych nie było, a jeżeli były, to po cenach znacznie zniżonych. Takich przykładów można przytoczyć całe szeregi. Wymienimy jeszcze następujący: żelazo dla walcowni drutu było zakontraktowane po 107 marek w hutach, tymczasem cena drutu spadła do 105 marek, to znaczy, że produkt był tańszy od materyału surowego na miejscu produkcyi, bez kosztów przewozu. Jasnem jest, jakie miały stąd wyniknąć skutki: wytwórcy, zależni od syndykatów, musieliby zaniechać produkcyi, co jest połączone z olbrzymiemi stratami, lub też produkować ze stratą; stąd szło bankructwo za bankructwem. Oto jak wypowiedziała się faktycznie „regulacya produkcyi.“

Przesilenie wybuchło więc tak samo w gałęziach produkcyi, które były ujęte w syndykaty, jak w innych. Syndykaty widziały się przeto zmuszone obniżyć cokolwiek ceny, a przedewszystkiem ograniczyły produkcyę. Syndykat np. węglowy ograniczył produkcyę o 20%. W polemice z R. Luxemburg, Bernstein twierdzi, że to zgoła co innego, gdy produkcya zostaje celowo zredukowaną przez syndykaty, a zatamowaną przez przesilenie. Rozumować inaczej — twierdzi on — to znaczy przypuszczać, „że chirurgiczna amputacya członka zgangrenowanego niczem nie różni się od zniszczenia tego członka gangreną, gdyż tak czy inaczej on przepada.“ Jeżeli każde porównanie kuleje nieco, to takie kuleje na wszystkie cztery nogi. Widzimy teraz, jakie to skutki pociąga za sobą owa redukcya produkcyi. Wielkie piece zostają zagaszone, huty i walcownie wstrzymane; kapitał inwestowany wtych przedsiebiorstwach przepada, kubek w kubek tak samo, jak gdyby przepadł w razie bankructwa.

Jeżeli Bernstein twierdzi: „Czy kapitał zostaje unieruchomiony wskutek wybuchu żywiołowego, czy też wskutek organizacyi przemysłu, to są zjawiska zgoła odmienne; w pierwszym wypadku chodzi tylko o tymczasowe wycofanie, w drugim — zniszczenie bezpośrednie,“ to i na to zgodzić się trudno. W wyjątkowych tylko wypadkach przesilenie powoduje „zniszczenie kapitału,“ gdyż zwykle w takich razach zakłady przemysłowe przechodzą w inne ręce, a więc nie zostają zniszczone. Różnica istnieje zapewne, ale tylko dla członków syndykatu. Dla nich, jak trafnie zauważono, syndykat jest jakby ubezpieczeniem od strat, dla społeczeństwa wszakże straty są te same.

Pozostaje więc jeden argument tylko, którym mogą się posługiwać rzecznicy syndykatów: klęski, jakie szerzy przesilenie, nie dawałyby się uczuć tak dotkliwie, gdyby wszystkie gałęzie produkcyi były ujęte w syndykaty. Lecz chodzi o to, że takie rozpowszechnienie syndykatów jest zgoła niemożliwe. Syndykaty nie mogą istnieć tam, gdzie towar produkowany jest nadto różnorodny. Wszystkie usiłowania zsyndykowania takich gałęzi przemysłu, jak tkactwo lub fabrykacya maszyn pozostaną zawsze daremne. Przebieg dotychczasowy wykazuje przytem z całą dokładnością właściwy charakter syndykatów. Są one organizacyami, które dają jednej kategoryi przedsiebiorców możność powiększenia swych zysków kosztem innych przedsiebiorców, częściowego zwalenia skutków przesilenia na niezorganizowanych; to właśnie potęguje niebezpieczeństwo przesilenia.

Nasuwa się dalej pytanie, czy syndykaty wytrzymają wstrząśnienie przesilenia tej miary, co obecnie, czy też rozlecą się pod naciskiem warunków nieprzyjaznych? Jak dotąd mamy do zaznaczenia w Niemczech właściwie jeden tylko wypadek rozwiązania syndykatu większej miary wskutek przesilenia — prysnął mianowicie związek fabryk cementu. Istnienie kilku innych było zagrożone — syndykat półfabrykatów żelaznych, fabryk drutu, kopalni soli potasowych; w ciężkich tarapatach są dotąd syndykaty cukrowni i gorzelni. Natomiast przesilenie doprowadzi też, zdaje się, do zawiązania kilku nowych stowarzyszeń — syndykat kopalń węgla w Saksonii i w Bawaryi, syndykat walcowni w Westfalii, syndykat fabryk stali w Anglii.

Druga doniosła nader sprawa, to kwestya wpływu kredytu i syndykatów na koncentracyę kapitału. Lecz o tem wypadnie pomówić wtedy, gdy przesilenie obecne doprowadzi już do pewnej konsolidacyi stosunków. Tymczasem za fakt już uważać można koncentracyę na olbrzymią stopę w sferze kapitału bankowego.

I tak więc dochodzimy do wniosku, że współczesnej fazy kapitalizmu nie charakteryzuje bynajmniej tendencya ku wytworzeniu organizacyi i form zapobiegających gwałtownym katastrofom ekonomicznym, lecz przeciwnie nagromadzają się czynniki potęgujące najniebezpieczniejszą formę „wyrównania sprzeczności wewnętrznych,“ nierozerwalnie złączonych z formą produkcyi kapitalistycznej.

Dr. J. B. Marchlewski.

NA MARGINESIE.

Przyszłość Oceanu Spokojnego. Podróżnik angielski Colquhoun ciekawe w tym względzie wypowiada poglądy w niedawno wydanej przez siebie książce, która jest wynikiem ostatniej, ośmiomiesięcznej podróży po Australii, wyspach oceanu Spokojnego i Indyjskiego. Ocean Spokojny nazywa on „wielkim dramatem,“ placem boju dwudziestego stulecia. Tu mają się zetrzeć i o władanie walkę stoczyć największe potęgi świata cywilizowanego. Najkrótsza droga z Europy prowadzi doń przez kanał Suezki, również blizką komunikacyę ze wschodniem wybrzeżem Stanów Zjednoczonych będzie stanowić kanał Międzymorski w Ameryce, a koleje żelazne, już zbudowane lub budować się mające, z obu stron wielkich kontynentów uczynią dostęp do niego zupełnie łatwym. Rosya dotarła już dziś do Oceanu przez Azyę, Stany Zjednoczone przez Honolulu i wyspy Filipińskie, Japonia stała się wielką na nim potęgą morską. Niemcy usadowiły się w Kiautszu, Apia i na Nowej Gwinei; Australia zjednoczona wyrosła na jedną z główniejszych sił w tej walce; Hiszpania i Portugalia utraciły dawne znaczenia; tylko Holandya trzyma się jeszcze mocno, lecz w zastoju, pełna obawy wobec przewagi tego świata nowożytnego. W obrazie przyszłości, jak ją Colquhoun rysuje, stanowisko przewodniczące na Oceanie Spokojnym zajmą Stany Zjednoczone; zapowiedzią tego są olbrzymie środki, jakimi dziś już rozporządza to państwo i szybko wzrastające jego zaludnienie. Weszły one obecnie na nowe tory swego życia, biorąc na siebie odpowiedzialności i niebezpieczeństwa, które pociągną za sobą pewne ofiary i konieczność przekształcenia wielu głęboko zakorzenionych poglądów. O mieszkańcach wysp Filipińskich ciekawe wypowiada zdanie. Krajowcy, mówi, są „napół dzicy, napół dzieci.“ „Braki rasy łacińskiej przekształciły się u nich w śmiesznostki, a namiętność wschodnią przykryła cienka warstwa zachodniej kultury.“ Pod panowaniem hiszpańskiem „stracili nietylko wolność narodową, lecz także indywidualną.“ Amerykanie będą musieli zwalczyć wiele trudności, zanim przygotują ten lud do samorządu; sami muszą się przedewszystkiem nauczyć jak z ludami Wschodu postępować, a ich wielu rzeczy oduczyć. To im niemało czasu zabierze. Głównie, Colquhoun sądzi, Ameryce należy jak najmniej mieszać się do zwyczajów, przesądów i wierzeń religijnych krajowców, a jednocześnie mocno ich w ręku trzymać.

Między dzisiejszymi Stanami Zjednoczonymi Ameryki a Australią przyszłości, robi ciekawe

porównanie. Podobieństwo idealne i praktyczne obu krain każe mu przypuszczać możność wspólnej dla obu przyszłości politycznej, o której Anglia, ziemia ich macierzysta, niema dziś nawet pojęcia. Wysłanie wojska australskiego na wojnę do Afryki południowej nie dowodzi bynajmniej poczucia solidarności lub obowiązku względem Anglii, jest tylko objawem dobrej woli. „Nowa Gwinea pod względem strategicznym jest punktem bardzo ważnym i Australczycy źleby przyjęli każde usiłowanie Niemiec wzmocnienia stanowiska swego na Oceanie Spokojnym, przez urządzenie stacyi okrętowej lub zagarnięcie czyichś posiadłości. I może przyjść taki dzień, kiedy Wielka Brytania będzie musiala wybierać pomiędzy swemi koloniami, a którąś z potęg europejskich, mianowicie swym sprzymierzeńcem — cesarstwem niemieckiem."

Przyszłych władców Oceanu Spokojnego widzi Colquhoun w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Rosyi i Japonii. Polityka kolonialna Francyi, Niemiec i Holandyi wobec nich się nie ostoi. Francya i Niemcy zawiele urzędników posyłają do swych kolonij, a ci nie mają właściwego zrozumienia interesów handlowych, którym służyć powinni, a nie okazywać pogardę, jak to czynią w rzeczywistości. Tymczasem jednak okręty handlowe Niemiec tłumnie krążą po wodach Indyj Wschodnich. „Że Niemcy pożądliwe spojrzenia rzucają w stronę posiadłości holenderskich, nie jest dla nikogo tajemnicą, że chcieliby połknąć wszystkie ziemie sojuszniczki swojej królowej Wilhelminy w Europie, wiadomo jest także każdemu. Tylko że ta sprawa byłaby znacznie trudniejszą, niż zagarnięcie kolonij holenderskich na Oceanie Spokojnym. Może więc dożyjemy jeszcze tego, że Niemcy wystąpią jako jedna z pierwszorzędnych potęg na Oceanie Spokojnym."

(*Frank. Zeit.*)

KRONIKA.

Do porządku. „W gruncie — oznajmia p. Antoni Lange — jest mi *bezwzględnie obojętne* to, co o mnie piszą lub mówią; *nie lubię* zajmować czytelników swoją osobą, a *wszelki spór* z recenzentem uważam za rzecz jałową. Tym razem jednak dla *pewnych względów* specyalnych zmuszony jestem przerwać milczenie i zaprotestować"—a raczej, za łaskawem pozwoleniem *Kuryera Warsz.*, nagadać impertynencyj recenzentowi *Prawdy* i jednemu z najpoważniejszych dziś krytyków—p. A. Drogoszewskiemu. Pan A. Lange zwrócił się naprzód ze swojem nieszczęśliwem orędziem do nas; odmówiliśmy przyjęcia nietylko przez szacunek dla naszego współpracownika, ale przez litość dla obrażonego poety. Bo jeżeli komuś jest *„bezwzględnie* obojętne, co o nim piszą," to nie może być mu względnie nieobojętnem, co o nim napisano; jeżeli ktoś „nie lubi zajmować ludzi swoją osobą," to nie powinien zajmować ludzi swoją osobą; jeżeli ktoś „wszelki spór z recenzentem uważa za rzecz jałową," to nie powinien robić rzeczy jałowej; jeżeli wreszcie ktoś sądzi, że musi zrobić wyjątek od tej bezwzględnej obojętności, nielubienia i jałowości, to powinien przytoczyć lepszy powód „specyalny," niż ten, że recenzent nałoży do ludzi „ciemnych" i prawi „niedorzeczności." Taka bowiem osobliwa logika, połączona z taką pychą, zdradza tylko wielką arogancyę a małą rozwagę.

Wiadomości urzędowe. *Prawit. Wiest.* podaje następujące ogłoszenie gubernatora finlandzkiego: „W ostatnich dniach w mieście wynikły rozruchy uliczne, które wymagały wezwania wojska, mogącego w takich razach, na mocy prawa, uciekać się do broni, której siła strzelnicza jest obecnie straszna. W celu uniknięcia daremnych ofiar wzywam obywateli, aby nie zakłócali porządku publicznego, a zwłaszcza nie pozwalali kobietom i dzieciom przyłączać się do tłumu. Udział w zbiegowiskach niedozwolonych, będąc przekroczeniem prawa, sam przez się jest występkiem. Zaburzenie uliczne nie może zachwiać żądaniami rządowemi i dlatego wyzywająca samowola tłumu, zgoła bezcelowa, może tylko pociągnąć za sobą bardzo ciężkie następstwa. Prawo: § 6 rozdziału 16 kodeksu karnego Wielkiego Księstwa Finlandzkiego, Najwyższa odezwa z d. 20 stycznia 1896 r. w sprawie okazywania pomocy sile wojskowej. Helsingfors, 8 (21) kwietnia 1902 r."

— Gubernator kurlandzki rozporządził, aby językowi państwowemu nadano właściwe stanowisko w instytucyach gminnych i społecznych i aby cała biurowość wewnętrzna prowadzona była w języku rosyjskim.

Wiadomości społeczne. W Warszawie utworzyło się stowarzyszenie p. n. „Światło Syonu," którego celem ma być szerzenie idei syonizmu śród nieoświeconej klasy ludności żydowskiej.

— We wszystkich składach monopolowych w gub. Warszawskiej i Siedleckiej mają być utworzone posady lekarza i felczera lub felczerki. Wszyscy robotnicy- będą mogli korzystać z pomocy lekarskiej bezpłatnie, a nadto, w razie dłuższej choroby, z dwumiesięcznego leczenia się w domu lub szpitalu kosztem skarbu.

— Sąd gnieźnieński skazał fotografa Furmaniaka z Wrześni na 200 marek kary za wydanie kart pocztowych z fotografiami skazanych w procesie wrzesińskim, Piaseckiego zaś i Kaczmarka za rozpowszechnianie tych kart na 50 i 30 m. kary. Oskarżono ich o podburzanie ludności polskiej przeciw Niemcom.

Nauczyciele. Ministeryum oświaty pozwoliło osobom wyznania nieprawosławnego uczęszczać na kursy pedagogiczne w celu przygotowania się do stanowiska nauczycieli szkół ludowych dla innowierców.

— Wyjaśniono, że szkoły początkowe i miejskie mają prawo egzaminować kandydatki na nauczycielki, przyczem świadectwa odpowiednie winni wydawać naczelnicy dyrekcyj naukowych, do których też należy się zwracać z prośbą o dopuszczenie do egzaminu.

Dla kobiet. Na posiedzeniu rady rolniczej w Petersburgu minister rolnictwa dowodził potrzeby kształcenia kobiet w gospodarstwie wiejskiem. Rada uznała za pożądane zakładanie szkół gospodarstwa wiejskiego, a na razie — urządzanie kursów specyalnych.

Obieżysasi. Dzienniki kopenhagskie donoszą o licznem przybywaniu na wyspę Laaland robotników z Królestwa Polskiego, którzy znajdują w Danii zarobek w porze zajęć rolnych, a na zimę wracają do stron rodzinnych. W ostatnich czasach przybyło tam około 1,800 Polaków. Dla wielu wychodźców pobyt w Danii nie jest nowością, gdyż powracają tu od lat kilku.

Górnictwo. W okręgu Nerczyńskim odkryto pokłady złota, których wydajność obliczono na 10,000 pudów rocznie w ciągu 50—60 lat. Zbadaniem i eksploatacyą pokładów wzdłuż północnej granicy Chin zajmie się „Północno-Mandżurskie Towarzystwo akcyjne." Dziesięć procent wydobywanego złota zabierze rząd chiński.

Zdrowie publiczne. Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej zatwierdziła instrukcyę dla lekarzy-asystentów, internów i dyżurnych w szpitalach. Na posady te mianowani będą lekarze, chcący się wykształcić w danej gałęzi wiedzy lekarskiej. Do posady przywiązana jest pensya, mieszkanie i całkowite utrzymanie, a to w celu, aby asystenci mogli poświęcić się wyłącznie szpitalowi. Asystenci etatowi będą wybierani na lat trzy z pomiędzy nadetatowych lekarzy szpitalnych.

— W szpitalach moskiewskich: Maryjskim, Starojekateryńskim i Sofijskim (dziecinnym) czynione są próby leczenia gruźlicy surowicą profesora włoskiego, Maragliana. Doświadczenia dają wyniki podobno dobre.

Pomoc. Zatwierdzono ustawę Towarzystwa pomocy dla uczącej się młodzieży w Kielcach. Celem Towarzystwa będzie opieka nad uczniami w gimnazyach i szkołach miejskich.

Z uniwersytetów. Ministeryum oświaty postanowiło utworzyć katedrę bakteryologii na wydziale lekarskim we wszystkich uniwersytetach, jako też w instytutach weterynaryjnych.

Odczyty. P. Atanazy Bardzki rozpoczął w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa szereg zajmujących, żywotnych i z werwą polemiczną wygłaszanych odczytów o pracy umysłowej kobiet. Dochód z tych prelekcyj powiększyć ma fundusz Tow. opieki nad chorymi umysłowo i nerwowymi.

Prasa. Wyszedł z druku pierwszy zeszyt *Przeglądu Polskiego*, miesięcznika poświęconego sprawom przemysłu fabrycznego, handlu i rolnictwa.

Konkursy. Komitet Towarzystwa Sztuk Pięknych ogłasza konkurs na prace z zakresu malarstwa i rzeźby. O pierwszeństwo ubiegać się mogą dzieła, wykonane w ciągu ostatnich lat trzech, jeżeli nie były umieszczone na wystawie Towarzystwa lub innej w Warszawie, mianowicie: a) z działu malarstwa: obrazy olejne, akwarele, pastele, kartony i rysunki; b) z działu rzeźby: wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, snycerstwa i medalierstwa. Wszelkie kopie i prace artystów zmarłych do konkursu dopuszczone nie będą. Za dzieła, mające istotną wartość artystyczną, przyznane będą nagrody pieniężne, w dziale malarstwa trzy: 400, 200 i 100 rb., w dziale rzeźby dwie: 400 i 200 rb. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 3 stycznia 1903 r.

— Z inicyatywy pp. Stanisława Wydżgi, Tomasza Adamiaka, Karola Sapiechy i J. M. Wędrychowskiego, warszawskie Towarzystwo artystyczne ogłosiło konkurs na projekt domu jednopiętrowego, w stylu swojskim, stojącego w ogrodzie lub na powierzchni ze wszystkich stron otwartej. Nagrody ustanowiono trzy: 300, 200 i 100 rb. Projekty nienagrodzone mogą być nabyte przez inicyatorów konkursu po 75 rb. Program konkursu otrzymać można: w Tow. artyst. w Warszawie, Królewska 41. Termin składania prac oznaczono na 15 czerwca r. b.

Ze sztuki. W Towarzystwie zachęty otworzono wystawę dzieł artysty-malarza Stanisława Masłowskiego.

Z Galicyi. Wyrokiem sądowym zabroniono *Nowemu Słowu Polskiemu* używania tytułu, będącego własnością gazety *Słowo Polskie*. W razie niewypełnienia wyroku pismo ulegnie zawieszeniu.

— We Lwowie zaczął wychodzić miesięcznik p. t. *Przegląd Hygieniczny*, wydawany przez Tow. przyjaciół zdrowia.

— D. 20 kwietnia Towarzystwo muzyczne imienia Moniuszki w Stanisławowie święciło 20-lecie swego istnienia.

— Przed lwowskim sądem apelacyjnym rozstrzygniętą została sprawa kilku redaktorów pism lwowskich, oskarżonych o umieszczenie w gazetach fałszywych wiadomości o torturach w wojsku, głównie zaś o żołnierzu, który za zerwanie kilku śliwek skazany został przez swego zwierzchnika na karę zawieszenia na kółku (Anbinden), wskutek czego umarł. Trybunał wydał obecnie wyrok, skazujący obwinionych na kary od 20—40 koron.

Praktyka. Podczas wakacyj przy budowie kolei Kaliskiej prowadzić będą zajęcia praktyczne studenci politechniki warszawskiej i kijowskiej.

Rolnictwo. W kraju naszym powstaje spółka melioracyjna, której zadaniem ma być wykonywanie wszelkich melioracyj rolnych i pośredniczenie w wyjednywaniu na ten cel funduszów w ministeryum rolnictwa i instytucyach kredytowych.

Bojkot czeski. *Gazecie Polskiej* donoszą z Pragi czeskiej, w jaki sposób przemysł tamtejszy zdobywa sobie stanowisko w walce z niemieckim. W Budziejowicach istnieje wielka fabryka ołówków Hardmutha, która zdobyła sobie rynki wszechświatowe. Hardmuth, znany ze swej nieżyczliwości dla żywiołu słowiańskiego, nie przyjmuje do fabryki robotników czeskich. Otóż w tychże Budziejowicach powstała niedawno fabryka ołówków kosztem 400,000 koron, drogą nabycia akcyj 20-koronowych wyłącznie przez Czechów. Oczywiście zatrudnieni są tam sami Czesi, a żaden Czech nie kupuje obecnie innych ołówków, jak z tej właśnie fabryki... W taki sposób Czesi walczą z przemysłem niemieckim i popierają przemysł krajowy.

Kongresy. W czerwcu 1903 r. odbędzie się w Petersburgu międzynarodowy kongres neofilologiczny nauczycieli i nauczycielek języków nowożytnych, podzielony na trzy sekcye: literacką, językoznawczą i pedagogiczną. Referaty odczytywane będą w językach: rosyjskim, francuskim, angielskim i włoskim.

Zaburzenia. *New-York Herald* donosi, że w Managui, w rzeczypospolitej Nikaragua, partya zachowawcza, nienawistnie usposobiona dla prezydenta, wysadziła w powietrze koszary. Zginęło 120 żołnierzy

i dużo innych osób w domach sąsiednich, które uległy uszkodzeniu.

Koleje i komunikacye. Senat wyjaśnił, że zarządy kolejowe odpowiadają za tragarzy kolejowych, trudniących się odnoszeniem bagażu ręcznego podróżnych.

Katastrofy. Gwatemalę nawiedziło trzykrotne trzęsienie ziemi, które zburzyło wszystkie miasta, miasteczka i wsie na zachodzie rzeczypospolitej. Wulkany Chingo i Santa Maria są nieustannie czynne. Ofiary w ludziach olbrzymie.

— Parowiec „Pittsburg," płynący z podróżnymi po rzece Ohio, z Cincinnati do Memfisu, zgorzał doszczętnie. Kilkadziesiąt osób utraciło życie w płomieniach lub utonęło w rzece.

Zmarli. Jan Goldberg (Jan Zahorski), literat, w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu M. Z w M. Wszystkie prace A. G. Bema rozrzucone są po różnych czasopismach; w książkowem wydaniu mamy dotąd tylko gramatykę „Jak mówić po polsku?" (rb. 1 kop. 50) i „Teoryę poezyi" (rb. 1 k. 50).

P. Koczanowi w Parczewie. Oddzielnych zeszytów już nie mamy; jest tylko cała część trzecia.

Wyszedł, jako osobna książka, dołączony w dodatku do „Prawdy" dalszy ciąg wydawnictwa „Wiek XIX," p. t.:

Wiek cudów

Alfreda Wallace'a (tłom. z angielskiego).
Cena 90 k., z przesyłką rekom. 1 rb. 10 k.

R. Bettena

Hodowla kwiatów w pokoju

z ilustracyami. Autor, znakomity ogrodnik, sam przeprowadził pokojową hodowlę roślin, praca więc jego jest oparta na doświadczeniach ścisłych. Jest przytem jasna, gruntowna i bogata we wszelkie rady, praktyczne zarówno dla miłośników w mieście, jak na wsi.

Cena rb. 1 kop. 50, z presyłką rekomendowaną rb. 1 kop. 70.

Skład główny w Administracyi „Prawdy."

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 19 Апрѣля 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.